

ISKIERKI



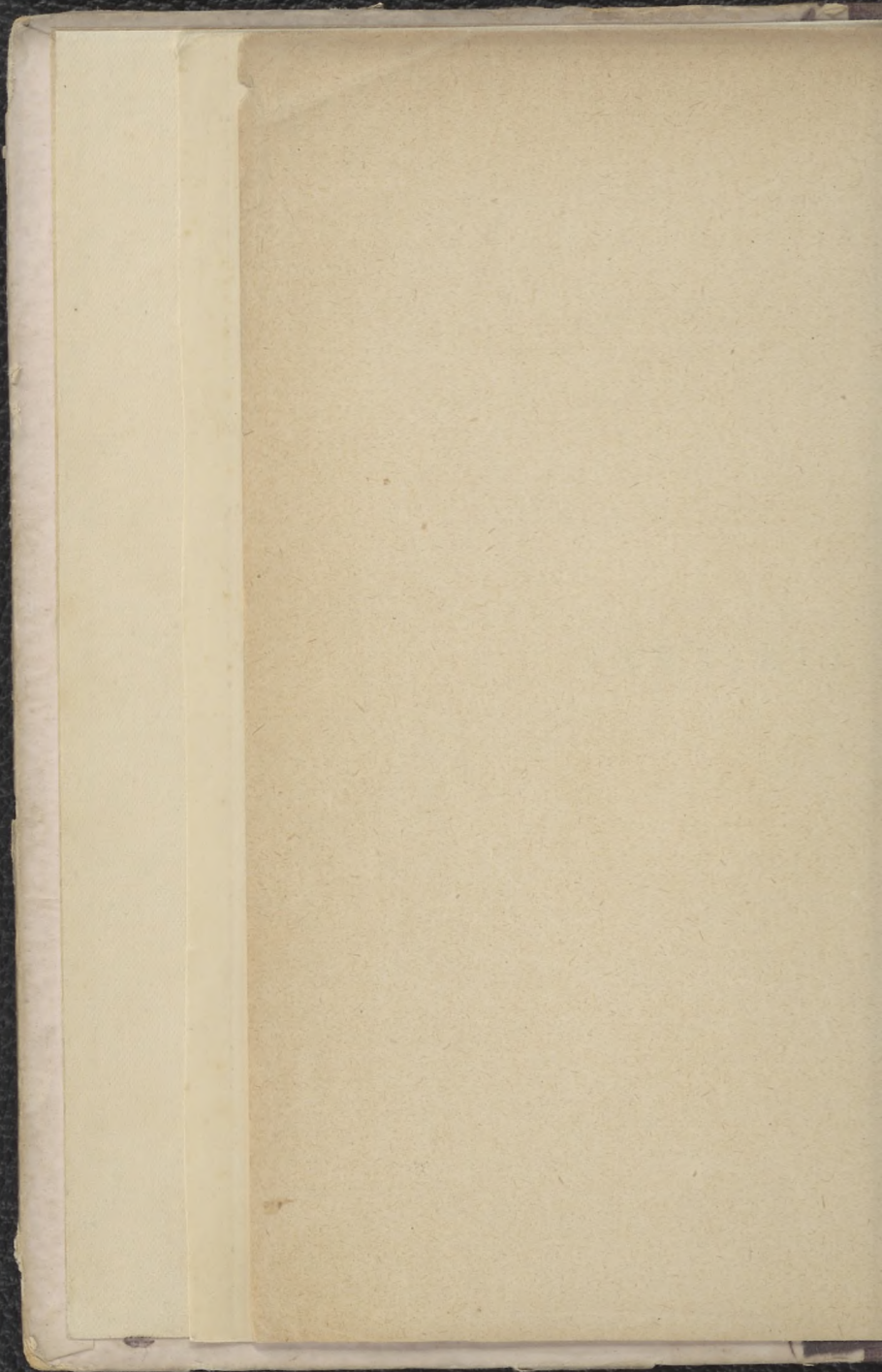
M. J. Zaleska



1871



ISKIERKI



M. J. ZALESKA

ISKIERKI

KRÓTKIE
POWIASTKI I BAJECZKI
DLA MŁODSZEJ DZIATWY

WYDANIE PIĄTE
Z 8 ILUSTRACJAMI



NAKŁAD
GEBETHNERA I WOLFFA
WARSZAWA



3.044.841



Zakłady Graficzne Straszewiczów, Warszawa, Leszno 112.
1931

20 17K 299/11

WIEWIÓRKI.

Był to ciepły wieczór letni. Młoda wiewióreczka w szybkich susach przeskakiwała z gałęzi na gałąź, a wtem nagle przystanąła na tylnych łapkach i wesoło wykrzyknęła, witając inną wiewióreczkę, znacznie starszą, która z przeciwległej strony się zbliżyła.

— Dobry wieczór cioci! — zawołała — nie widziałyśmy się od rana, co tam ciocieczka przez cały dzień porabiała?

— Spałam trochę po obiedzie, bo nie lubię w upał wychodzić z domu — odpowiedziała starsza — a teraz zbieram zapasy do spiżarni, bo czuję, że będzie słońce, trzeba jedzenie dla siebie i dzieci przygotować.

— Aha! — rzekła tamta z westchnieniem — czuję i ja, że ta nieznośna słońca się rozpocznie, ale u nas jest dosyć jedzenia w spiżarni, mateczka zawsze wcześniej

o tem pamięta. Co to za nudna rzecz, że w tym roku tak często deszcze padają, i trzeba w domu siedzieć, jak w więzieniu, zamiast skakać po lesie! Ja też dziś korzystałam z pogody i zabiegłam aż do sadu leśniczego.

— Co, co, byłaś sama aż w sadzie? — wykrzyknęła ciotka — nie bałaś się tam napotkać ludzi, którzyby cię mogli schwytać?

— Ludzi widziałam — odrzekła młoda wiewióreczka — dzieci leśniczego zrywały i jadły owoce, one mnie także widziały. Ach! Co to był za krzyk, co za radość! „Wiewióreczka, wiewióreczka!“ wołały wniebogłosy, jakgdyby nie wiem jakie dziwo obaczyły. Przelekłam się w pierwszej chwili okropnie, lecz wnet spostrzegłam, że nie ma czego: gdzieżby tam oni mnie potrafili dogonić! Jeden chłopiec drapał się nawet na drzewo, na którym siedziałam, ale jak niezgrabnie! Śmiech mnie porwał, bo czyż to jemu iść z wiewiórką w zawody! Zaczęłam skakać z jednego drzewa na drugie, aż wkońcu zupełnie mnie z oczu stracili, bom się ukryła doskonale na samym wierzchołku rozłożystej gruszy.

— Zawsze to nieostrożność z twojej strony, kochanko — mówiła ciotka poważnie — i nieposłuszeństwo; pewnie nie prosiłaś matki o pozwolenie, wybierając się do sadu.

— Ej, mama się nie będzie gniewała, cioteczko, bo i sama często do tego sadu biega. Wyborne tam są orzechy, próbowałam także pestek wiśniowych, ale mi się niebardzo podobały. Ach! Żebyś wiedziała, ciociu, jak te dzieci leśniczego zabawnie jedzą wiśnie; smokszą i połykają ten obrzydliwy miękisz czerwony, który ja zawsze wypluwam, a to, co najlepsze, twardą pestkę, wyrzucają.

— A tak, tak — potwierdziła ciotka — ludzie nic smaku nie mają: ze wszystkich owoców zjadają tylko miękisz, a na wyborne ziarnka patrzeć nie chcą. Ale powiedz-no mi, moja droga, czy twoja matka myśli o zimowem mieszkaniu i o zapasach zimowych? Mnie się zdaje, że już pora przygotowania rozpocząć.

— Coś o tem wspominała mateczka — rzekła młoda wiewiórka — chociaż ja nie wiem doprawdy, poco to się przenosić!

Mamy bardzo dobre i wygodne mieszkanie, doskonale się w niem chronimy wszyscy w czasie deszczu; pocóż nam lepsze?

— Jak to znać, żeś jeszcze zimy nie przeżyła! — mówiła starsza, powiewając poważnie puszystym ogonem — tybyś gotowa w mrozy pozostać na letnim mieszkaniu. O! moja droga, tożbyś niezawodnie zginęła z chłodu i głodu, bo na letnich mieszkaniach niema przecież nigdzie śpichrzów takich obszernych, ażeby można było dostateczną ilość zapasów przygotować. Ja naprzykład tego lata wychowałam swoją dziatwę w gnieździe, gdzie przeszłego roku sroki mieszkały. Dobrze tam jest, wygodnie, bo mój mąż wyporządził gniazdo, jak należy, a on się zna na tem. Dorobił dach, ażeby deszcz do środka nie zaciekał, wewnątrz suchym i miękkim mchem wytapetował i ściany i podłogę, ale cóżby to wszystko znaczyło na zimę, gdy przez kilka długich miesięcy trzeba siedzieć prawie ciągle w domu, a choćby się wyszło w dni słoneczne, nigdzie nie można znaleźć ani orzeszka, ani żółędzi, ani najdrobniejszego

ziarnka! Wszędzie biało, śnieg pokrywa ziemię, a drzewa ogołoczone z liści. Straszna to rzecz zima; pomimo wszelkich ostrożności, niejedna biedna wiewiórka nie дочека wiosny.

— Ach! moja ciciu, to okropne. Cóż my pocniemy?

— Nie przerażaj się zbyt, kochanko — uspokajała ciotka — od czegoż rozum i doświadczenie? I ja, i matka twoja przeżyłyśmy już szczęśliwie niejedną zimę, wiemy jak sobie radzić. Najlepiej upatrzeć w grubym pniu drzewnym porządny, głęboką dziuplę, pozatykać szpary starannie, a nadewszystko zaopatrzyć spiżarnię. Niektórzy nasi krewni, naprzykład świstaki górskie, mają takie szczęśliwe usposobienie, że całą zimę przesypiają, nie budząc się wcale, i nic jeść nie potrzebują. Powiadają, że i siostry nasze wiewiórki, mieszkające na dalekiej północy, także w taki sen zimowy zapadają. My tego nie potrafimy, niestety!

— Ach, ciciu! — zawołała młoda wiewióreczka — czy to podobna, żeby kto

mógł spać przez kilka miesięcy zrzędu, nic nie jedząc? Toż jabym zginęła z głodu i osłabienia, gdybym tylko przez jeden dzień nic nie jadła!

— We śnie jest inaczej, i ty przecież śpisz czasem dość długo, zwłaszcza w czasie słoty, a jak śpisz, to nigdy jeść nie prosisz. Ale ten sen zimowy to rodzaj odretwienia; trzeba także wiedzieć, że wszystkie zwierzęta, które na zimę zasypiają, zawsze wprzód ogromnie się najadają i bardzo są tłuste. Otóż ten tłuszcz ciągle potrosze, podczas snu, do krwi ich przechodzi i tym sposobem życie podtrzymuje. To tak zupełnie, jakgdyby one ten tłuszcz swój własny powoli zjadały.

Zato też, gdy się na wiosnę przebudzą, są okropnie wychudzone i wymizerowane.

— Muszą też być głodne, ciociu, wyobrażam sobie! Ja raz w deszcz przespałam całą dobę, a gdym się ocknęła, taką byłam zgłodniała, że w tej chwili do szpizarni dobierać się chciałam. Ale mateczka mnie wyłajała, powiedziała, że już pogoda,

więc mogę pójść sobie poszukać śniadania, a zapasy spiżarniane na słotę się przydadzą. Trafiła mi się też dnia tego gratka nielada. Skakałam jak szalona z drzewa na drzewo, szukając ziarenek, aż tu patrzę, gniazdeczko jakiegoś małego ptaszka ukryte wśród gałęzi, a w niem kilka ślicznych jajek. Zjadłam dwa jajka z wielkim smakiem; byłabym spałaszowała i resztę, ale coś w liściach zaszeleściło; przeleżałam się, czy nie kuna, bo tata mówił, że widział przed kilku dniami zdaleka straszną kunę leśną, nieprzyjaciółkę naszego rodu. Pomknęłam więc dalej, zostawiając resztę jajek; żałowałam tego potem, bo kuna jakoś na szczęście nie pokazywała się więcej.

— Ostrożność jednak nie zawadzi — odrzekła ciotka. — Mnie na samo wspomnienie kuny dreszcze przechodzą od stóp do głowy. Żaden zwierz drapieżny nie jest dla nas tak straszny, ani lis, ani wilk, ani pies myśliwski, bo my tak szybko po drzewach skaczemy, że przed każdym z nich umknąć potrafimy. Ale kuna leśna jest nadzwyczaj zwinna i także po drzewach uga-

nia z wielką chyżością; ona jedna dopędzić nas zdoła.

— Że też ta kuna tak doskonale skacze, choć nie ma tak puszystego ogona, jak my — odezwała się mała wiewióreczka. — Ja czuję, że ten ogon bardzo mi w tem pomaga: jak nim wywinę, to skoczę na najdalsze drzewo. Bez ogona byłoby mi bardzo niewygodnie.

— O, zupełną masz słuszność — odrzekła ciotka. — Znałam pewną starą wiewiórkę, której złośliwi ludzie odcięli ogon i taką ją okaleczoną wypuścili. Nieszczęśliwa nie mogła już tak zwinnie skakać po drzewach, i wkrótce ją zwierz jakiś pożarł. Ale my tu gadu gadu, a ja jeszcze nic a nic do spiżarni nie zaniósłam. Bywaj zdrowa, kochanko, kłaniaj się matce.

I starsza wiewiórka chyżym skokiem przeleciała odrazu aż na sąsiednie drzewo, a młodsza poskoczyła w inną stronę, wołając:

— Do widzenia, cioteczko!

WOJTUŚ.

Wojtuś, mały chłopczyk wiejski, był sierotą; dziadek chował go przy sobie i troskliwie się nim opiekował. Stary Walenty, dziaduś Wojtusia, był ubogi, niewiele też mógł zarobić, bo już sił nie miał, a jednak chłopczynie na niczem nie zbywało, bo dziaduś wołał sobie czegoś odmówić, byle ukochany wnuczek miał wszelkie wygody. Na wsi zazwyczaj i dzieci muszą coś robić, wyręczać starszych, o ile potrafią; ale Walenty nigdy do żadnej roboty nie pędził malca, pozwalał mu bawić się od rana do wieczora z dziećmi bogatszych wieśniaków.

Raz wieczorem stary Walenty, powróciwszy z kosą z pola, siedział na przyzbie pod chatą, a Wojtuś strugał patyczki kozikiem, biegnąc tu i ówdzie. Wtem nadszedł

Jędrzej, karbowy, także już staruszek, pozdrowił Walentego i zaczął z nim rozmawiać a, wyjmując tabakierkę z kieszeni, podał mu ją, mówiąc:

— A popróbujcie, kumie, co to za dobra tabaka; wczoraj kupiłem w mieście, bardzo mi smakuje.

— Co dobra, to dobra — powiedział Walenty, spróbowałszy.

— Jak chcecie, to i dla was kupię — rzekł Jędrzej — pojutrze znów za interesem pańskim jedziemy do miasta. Dajcie kilkańście kopiejek, a będziecie mieli dobry zapas.

— Ja tam nie mam pieniędzy na takie zbytki — odparł Walenty — odwykł człowiek od tabaki, choć dawniej się zażywało; bo to, widzicie, ot i ten biedny sierota na mojej głowie, a dziecko coraz czegoś potrzebuje; łatwiej staremu obejść się bez wszystkiego, niż dziecku.

— E, bo wy, kumie, psujecie zanadto tego malca — mówił Jędrzej. — Albo to mu potrzebny ten kozik, coście mu u Węgra kupili? A za te pieniądze byłaby tabaka.

— Oj, żebyście widzieli, co to za uciecha była z tego kozika! — odrzekł Walenty z uśmiechem — a już ja wolę patrzeć na uciechę dzieciaka, niż najlepszą tabakę zażywać.

— I czy to taki malec wam się odwdzięczy...

— A czy ja dla wdzięczności to robię? — przerwał żywo Walenty — byle mi rósł zdrowo, to mi najlepsza wdzięczność.

Wojtuś, niby to nie zważał na rozmowę starych, strugał pilnie swoje patyczki, słyszał jednak wszystko doskonale, a że chłopczyna miał dobre serce, więc go słowa dziadusia bardzo wzruszyły. Kozik był śliczny, Wojtuś nie posiadał się z radości, gdy mu go dziadek kupił, w całej wiosce dwóch czy trzech chłopaków miało podobne, a jednak zaczął myśleć o tem, czy nie możnaby sprzedać gdzie kozika i za te pieniądze kupić tabaki.

Myślał, myślał i przypomniał sobie, jak kilka dni temu Kasia, córka wdowy Józefowej, pokazywała mu śliczny pieniądz i opowiadała, że to pani ze dworu dała

jej za jagody, bo jagód tych było dużo, Kasia zbierała je prawie przez cały dzień w lesie. Wojtuś zbierał nieraz jagody, ale sam je zjadał; nie przyszło mu nigdy do głowy, że za nie pieniądze mieć można. Pocóż mu były pieniądze? Dziaduś kupował sam wszystko, co potrzeba. Teraz jednak nasz Wojtuś chciał koniecznie dostać pieniędzy na tabakę dla dziadusia.

Na drugi dzień dziaduś szedł znowu z kosą w pole na cały dzień, zabrał z sobą jedzenie, bo pole było daleko od jego chaty. Wojtusiowi także zostawił trochę chleba, mleka, pieczonych kartofli i przypomniał mu, żeby drzwi dobrze zamknął, jak pójdzie bawić się z dziećmi, bo mogłoby bydłatko jakie wejść do chaty. Jak tylko dziaduś odszedł, nasz Wojtuś wziął duży dzbanek wyszczerbiony, włożył do kieszeni tyle chleba i kartofli, ile mógł pomieścić, napił się mleka, potem wyruszył do lasu.

Po drodze spotkał chłopaków, z którymi się zwykle bawił, wołali go i zapraszali, żeby szedł z nimi, ale Wojtuś

odpowiedział, że nie ma czasu, bo idzie do lasu na jagody.

— Na jagody pójdziemy później — wołali chłopcy — a teraz mostek pobudujemy! W tym dołku, obok ogrodu karbowego, pełno wody po wczorajszym deszczu.

Wojtuś bardzo lubił mostki budować; aż westchnął, tak mu się chciało iść z chłopcami, ale nie zawrócił się i poszedł dalej do lasu. Tak pilnie zbierał jagody, że jeszcze słońce dosyć wysoko było na niebie, a on już miał pełny dzbanek. Poszedł prosto do dworu. Pani pogłaskała Wojtusia, spytała, czy dziaduś zdrów, a potem wyniosła mu ładny pieniądz, zupełnie taki sam, jaki widział u Kasi.

Chłopiec był uszczęśliwiony, pocałował panią w rękę, włożył pieniądz do kieszeni, a, wracając do domu, co chwila go wyjmował i oglądał. Chciał zrazu oddać pieniądz dziadusiowi i powiedzieć, że to na tabakę, ale potem inaczej się namyślił. Wstąpił po drodze do karbowego, podał mu pieniądz i rzekł:

— To na tabakę dla dziadusia.

— Aha! — powiedział Jędrzej — namyślił się stary. Dobrze, dobrze, powiedz, że kupię.

Wojtuś pobiegł do domu, nic nie mówił dziadusiowi, czekał cierpliwie, a na drugi dzień wieczorem przyszedł Jędrzej i, powitawszy starego, podał mu zaraz paczkę z tabaką.

— A to co? — spytał Walenty ze zdziwieniem.

— No, cóżby było? Tabaka, coście mi na nią pieniądze przysłali.

— Ja pieniądze przysłałem na tabakę? — spytał Walenty. — Chyba się wam przyśniło, kumie!

— A toż Wojtuś mi przyniósł wczoraj wieczorem i mówił, że na tabakę. Może się pomylił, możecie co innego chcieli kupić? A chodź-no tu, Wojtuś.

Chłopczyk przybiegł rozpromieniony i rzekł:

— Bo to ja nie od dziadusia, ja od siebie wam dałem pieniądze na tabakę.

— Od siebie? — zawołał Walenty, jeszcze mocniej zdziwiony — a skądże ci do

głowy przyszła tabaka, i kto ci dał pieniądze?

— Bo to ja wczoraj nazbierałem jagód w lesie, i pani we dworze dała mi pieniądze za jagody. A wy, dziadusiu, kupiliście mi taki śliczny kozik, choć za te pieniądze byłaby tabaka...

— Słyszał pewno, jakeśmy to mówili pozawczoraj — rzekł Jędrzej z uśmiechem.

Dziaduś drżącemi rękoma wziął chłopca za głowę, łza mu się w oku zakręciła.

— A widzicie, kumie — mówił — wyście powiadali, że taki malec nie potrafi być wdzięcznym.

— Poczciwe z ciebie dziecko, Wojtusiu — rzekł karbowy — pamiętaj, abys zawsze był taki.

MAŁY OGRODNIK.

Mama Alinki i Jasia lubiła niezmiernie kwiaty, pielęgnowała je sama w ogrodzie przed domem, a i w pokoju trzymała różne ładne rośliny, kwitnące w doniczkach. Zawsze też własną ręką je podlewała. Alinka, duża już, ośmioletnia dziewczynka, pomagała mamie, a miała do tego ładną, malutką koneweczkę blaszaną, zielono pomalowaną.

Jaś był daleko młodszy od siostrzyczki, dopiero trzeci rok kończył, i on jednak lubił przypatrywać się podlewaniu kwiatów i słuchał, jak mama opowiadała Alince różne ciekawe rzeczy o roślinkach, chociaż nie rozumiał jeszcze tego wszystkiego.

— Roślinki koniecznie potrzebują wody — mówiła mama, podlewając swoje doniczki — one bez wody żyćby nie mogły. Gdy w lecie czasem długo deszcz nie pada,

wszystkie ziółka i trawki wysychają, zboże nie rośnie, nawet liście drzew żółkną. W pokoju nigdy niema deszczu, więc, gdyby się tych biednych roślinek nie podlało, toby zupełnie poschły i zginęły.

— I poco im ta woda, moja mamusi? — pytała Alinka.

— A poco tobie mleko, rosół, potrawka z kurczęcia?—odrzekła mama z uśmiechem. — Roślina potrzebuje jedzenia tak samo, jak i ty, ale ponieważ nie ma zębów i nie może twardych rzeczy rozgryzać, więc wodę tylko pije korzonkami.

— Biedneż te roślinki — mówiła Alinka — co to za jedzenie, czysta woda!

— Ależ to wcale nie jest czysta woda—odpowiedziała mama—bo ona wsiąka w ziemię i zabiera stamtąd różne cząsteczki twarde, rozpuszcza je i rozkrusza w sobie, tak zupełnie, jak w herbacie rozpuszcza się cukier, a w różnych wodnistych potrawach sól. Roślina wypija taką pożywną zupę, wciągając ją korzonkami, a tym sposobem rosną jej gałązki, listeczki i kwiatki.

— Kiedy tak, to trzeba dobrze podlewać te kochane roślinki, żeby miały co jeść i nie zginęły z głodu, bo to wielka byłaby szkoda. Pijcie kwiateczki, pijcie! — i, mówiąc to, Alinka wylała resztę wody z koneweczki w dużą doniczkę, w której kwitła ładna pelargonja ponsowa.

Malutki Jaś stał za nią z założonemi wtył rączkami i powtarzał:

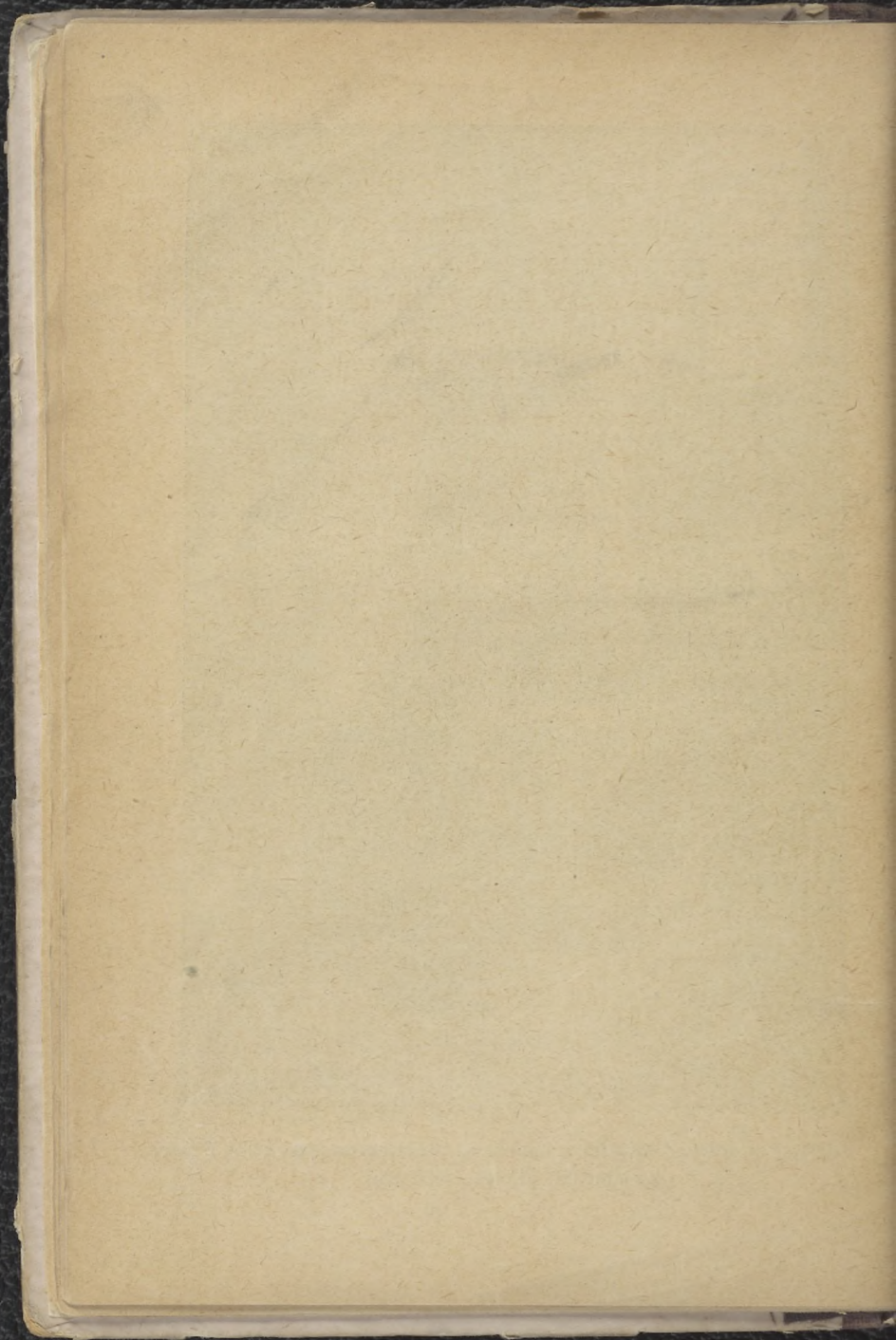
— Pijcie, pijcie, kwiateczki!

Tego samego dnia tak się jakoś zdarzyło, że wszyscy wyszli z pokoju, i Jaś został sam jeden. Chłopczyna zbliżył się do kwiatków, oglądał je, nakoniec jedną malutką doniczkę, nisko stojącą, chwycił rączkami i postawił na podłodze; wziął potem koneweczkę Alinki, pełną wody, podniósł ją z łatwością, bo była leciutka i zabierał się do podlewania.

A wtem Jaś spostrzegł na krześle pudełko tekturowe, podbiegł, podniósł nakrywkę i zobaczył nowy kapelusz mamy, wczoraj z Warszawy przywieziony, ładnymi kwiateczkami ubrany.



...i dalejże podlewać kwiatki u kapelusza, wołając raz po raz: — Pijcie, kwiateczki, pijciel... (str. 23).



— Oho!—pomyślał sobie chłopczyzna—
mamusia zapomniała te kwiateczki podlać,
a mówiła, że one nie mogą żyć bez wody.
Szkoda byłoby takich ślicznych kwiateczków!

Pudełko było także bardzo lekkie. Nasz
Jaś objął je obiema rączkami, postawił na
ziemi, usiadł przy niem, chwycił koneweczkę
z wodą i dalejże podlewać kwiatki u ka-
pelusza, wołając raz po raz:

— Pijcie, kwiateczki, pijcie!

Wtem weszła piastunka i krzyknęła
z przerażenia, obaczywszy, co się dzieje.
Na krzyk ten nadbiegła i mama, a chociaż
jej trochę żal było nowego kapelusza, nie
mogła jednak wstrzymać się od śmiechu,
bo Jaś zaczął tłumaczyć, że on przecież
nic złego nie robi, tylko kwiateczkom pić
daje, żeby nie uschły i nie zginęły.

— Mamusia sama mówiła — powtarzał
chłopczyzna, że one koniecznie wody po-
trzebują.

MAŁA LAPONKA.

Dzieci, lubiące zabawy ze śniegiem, nie obawiają się ciężkiej zimy, byle miały śniegu dosyć i było z czego robić kule ogromne i olbrzymie bałwany, i fortece budować. Dzieci państwa B., mieszkających na wsi, rozkoszowały się także tym śniegiem, który zasypywał obficie prawie codziennie cały ogród i podwórze, aż go z trudem wymiatać było trzeba. Ale dzieci uprosiły, że w jednej części ogrodu nie wymiatano śniegu, lecz pozostawiano im do zabawy całe ogromne kupy.

Dwaj starsi chłopcy najrozmaitsze piękne rzeczy robili z tego śniegu, a najmłodsza ich siostrzyczka, ośmioletnia Lunia, z wielkim zapałem im pomagała. Ona też pierwsza poddała myśl, aby zbudować domek ze śniegu; widziała taki na obrazku i wiedziała,

że Lapończycy, mieszkańcy dalekiego kraju północnego, naprawdę budują sobie domy ze śniegu. Chłopcom się ten pomysł podobał, zaczęli więc gromadzić śnieg pod sztachetami, oglądając go ładnie zwierzchu i wkrótce stanęła ogromna kupa, u góry zaokrąglona, zupełnie podobna do owych domów lapońskich na rysunkach.

Lunia tak była zachwycona tem arcydziełem, że siedziałaby chętnie od rana do wieczora przy domku śniegowym, gdyby mama na to pozwoliła. Ile razy, czy z rana, czy po południu, ubrano ją ciepło i wypuszczono z pokoju, pędem biegła do ogrodu i poprawiała coś we wspانياłym budynku, dokładała do niego śniegu, ażeby był jeszcze większy i śliczniejszy.

Dnia pewnego rodzice z braćmi pojechali w sąsiedztwo, Lunia została w domu pod opieką służącej Brygidy; mama, odjeżdżając, powiedziała, że Lunia może bawić się w ogrodzie do zachodu słońca. To też Brygida zaraz ją ubrała w ciepłe buciki, futerko, kapturek, i dziewczynka, jak zwykle, pobiegła do lapońskiego domku.

Przez czas jakiś bawiła się gromadzeniem śniegu, zrobiła nawet drugi domeczek malutki, dla lalek lapońskich, aż wkońcu przysła jej do głowy myśl bardzo niedorzeczna: czepiając się sztachet, wlaźła na sam wierzch śniegowego domku i usiadła na nim. Dnia tego mróz był niewielki, śnieg zaczynał padać, ale Lunia nie zważała na to, lubiła nawet bardzo, gdy śnieg padał jej na twarzyczkę, na nosek, czasami chwyciła płateczek ustami i połykała. Tak też robiła i teraz, siedząc na dachu lapońskiego domku. Wtem nagle dach ten zaczął się usuwać, i Lunia zapadała coraz głębiej w śnieg, aż wkońcu cała z głową się w nim pogrzyżyła.

— O, jakże to zabawnie!—zawołała — teraz sobie siedzę w domku, jak prawdziwa Laponka.

I wcale nie miała ochoty wychodzić, bardzo jej tam było wygodnie i miękko, zimna nie czuła w futerku, kapturku i ciepłych bucikach. Siedziała więc tak Lunia, nie poruszając się wcale; powoli oczki jej kleić się zaczęły, i mała nasza Laponka na

dobrze zasnęła. Śnieg tymczasem padał coraz gęstszy i zasypywał ją zgóry. Dziewczynka ani czuła, że jest cała zagrzebana w śniegu.

Dopiero o zachodzie słońca Brygida wyszła do ogrodu, wołając na Lunię, że pora już wracać do pokoju. Jakież było jej przerażenie, gdy na te wołania, kilkakrotnie powtórzone, nikt nie odpowiedział. Lunia usnęła tak mocno, że nic nie słyszała, bo na mrozie zwykle tak bywa: można usnąć na wieki, jeżeli ratunek nie przybędzie na czas.

Ale Brygidzie do głowy nawet przyjść nie mogło, żeby dziewczynka była ukryta w śniegu, więc biegała po całym ogrodzie, dosyć obszernym, przybrała do pomocy ogrodnika, kredencera, praczkę; wszyscy strwożeni i zmartwieni szukali zaginionej panienki i szukali nadaremnie.

Nadjechali na to rodzice i bracia Luni. Brygida z płaczem opowiedziała, co się stało, że panienka wyszła, jak zwykle, bawić się śniegiem w ogrodzie i tam jak w wodę wpadła, nigdzie jej odnaleźć nie

można. Łatwo sobie wyobrazić przerażenie rodziców: ojciec i matka, nie rozbierając się, zaczęli sami przetrząsać cały ogród, a dwaj bracia Luni, niemniej od rodziców strwożeni, dopomagali im gorliwie. Wszyscy przechodzili raz po raz podczas tych poszukiwań obok domku lapońskiego, lecz nikomu na myśl nie przyszło do niego zajrzeć. Już i ściemniać się zaczynało, ojciec Luni kazał zapalić latarnię, gdy wtem ozwało się głośne miauczenie kota. Maciuś lubił bardzo Lunię, bo dziewczynka była dobra dla niego, dawała mu mleczko na miseczce, czasem i mięsa kawałek, a zawsze go pieściła.

Ojciec Luni pierwszy zwrócił uwagę na kota i spostrzegł, że Maciuś, miauczając ciągle przeraźliwie, zaczął rozgarniać pazurami śnieg w domku lapońskim. Nie tracąc chwili, ojciec rozsypał tę kupę śniegu i wyciągnął z niej z okrzykiem radości i trwogi zarazem uśpioną dziewczynkę. Na krzyk ten zbiegli się wszyscy. Lunię, ciągle nieprzytomną, odniesiono do pokoju, rozebrano, położono w łóżeczku, i tu dopiero oczki

otworzyła. A kotek ciągle miauczał, teraz już wesoło i kręcił się koło łóżeczka.

Na szczęście, Lunia katarem tylko odpokutowała swą nieroztropność; rodzice wcale jej nie łajali, bo wiedzieli, że i sama już pewnie drugi raz tego nie zrobi. Bracia od tej pory nazywali ją małą Laponką, i nazwa ta pozostała jej na długo.

OPOWIADANIE BIAŁOSI.

Koteczka Białosia, tak przezwana od białego, jak mleko, futerka, miała troje ślicznych kociątek: jeden kociak był biały, jak matka, drugi siwy, a trzecia koteczka pstrokata, centkowana, wyglądała zupełnie jak maleńka tygrysiczka. Dzieci padały wszystkim trojgu imiona: biały kotek nazywał się Miż, siwy — Kiż, koteczka—Mruczka. Matka była to kotka roztropna i doświadczona, bardzo starannie dziatwę swoją wychowywała, Mizia i Kizia zawsze upominała, żeby byli grzeczni dla siostrzyczki, a Mruczkę znów, aby braciszkom się nie naprzykrzała.

Wieczorami wolno jej było z całą rodziną siedzieć w jadalnym pokoju, bo Białosia umiała się zachować jak należy, nie włąziła na krzesła, stoły, nie dobierała się do kredensu i kociętom nie pozwalała te-

go robić. Łapała tylko myszy i tak je wyniszczyła w całym domu, że bardzo rzadko gdzie się pokazywały. Nigdy jednak nie była głodna: dzieci pamiętały o niej, przynosiły dla całej kociej rodziny mleko i różne inne przysmaki.

Białosia miała swój mały dywanik obok komina, tam też zazwyczaj sadowiła się z kociętami; bardzo im było w tym zacisznym kąciku ciepło i wygodnie. Najczęściej matka mruzczała zcicha, a małe kociaki odpowiadały jej podobnem mrużeniem; była to taka kocia mowa, bo troskliwa Białosia ciągle dzieciom dawała jakieś naučky. One najlepiej lubiły, gdy im opowiadała dawne, bardzo dawne dzieje kociego rodu, o pra-pra-dziadach ich, którzy żyli niegdyś, przed wielu laty, w czasach starożytnych. A Białosia to wszystko wiedziała, słyszała od swej mateczki, ta znów od swojej. Podania te kocie były przechowywane przez liczne pokolenia.

— Widzicie, moje dziatki — mówiła pewnego wieczora — jak nam tu dobrze,

ciepło, wygodnie przy kominku, mamy dach nad głową, ani zważamy na to, co się dzieje na dworze. Wszystko to winniśmy ludziom, którzy się opiekują kotami i pozwalają im mieszkać w swoich domach. Byłyście raz ze mną w lasku, łążyście po drzewach, bardzo to się wam podobało, nieprawdaż?

— O bardzo! — zamruczał Kiż — ślicznie tam było w tym lasku, świeże mięso młodego wróbelka tak mi smakowało. Dziwiłem się nawet, że mamusia nie chciała zamieszkać z nami wśród tych ślicznych drzew zielonych; tamby nam nie zabrakło jedzenia: tyle ptaszków jest na gałęziach.

— Ba! to było latem — odpowiedziała Białosia — gdybyś zobaczył, synku, co się teraz dzieje w lesie. nie miałbyś pewnie ochoty tam mieszkać. Drzewa ogołoczone z liści, wiatr zimny dmucha, ptaszki odleciały do cieplejszych krajów, pusto, smutno; uciekłybyś ty stamtąd prędko do domu! Są jednak w naszym rodzie koty dzikie, te stronią i uciekają od ludzi i mieszczą po lasach, ale nie w tym kraju, dale-

ko stąd, bardzo daleko. I nasi pra-pra-dziadowie w czasach niezmiernie dawnych także prowadzili takie życie, póki się nie zapoznali i zaprzyjaźnili z ludźmi.

— Gdzież oni mieszkali, mamusiu, ci pra-pra-dziadowie? — spytała ciekawie Mruczka — czy w tym lasku, gdzieśmy latem chodzili na przechadzkę?

— O nie, wcale nie — mówiła Białosia. — Trzeba wam wiedzieć, moje dzieci, że wielu ludzi uczonych zajmowało się pilnie historją kociego rodu; niemałe my znaczenie musimy mieć na świecie! No, nic dziwnego, niedarmo ludzie szanują i pielęgnują koty: bez nas nigdy w życiu nie daliby sobie rady z myszami i szczurami, oneby ich zawojowały bardzo prędko. Opowiadają przecież o jakimś królu Popielu, którego myszy pożarły. Z pewnością nie trzymał kotów na swoim dworze. W dawniejszych czasach, jak słyszałam, gdy jeszcze w Europie nie znało oswojonych kotów, hodowano po domach łasice, ażeby szczury i myszy tępiły. Ale łasice nie chciały poprzestawać na myszach i po-

żerały także drób domowy, więc biedni ludzie więcej z nich mieli szkody niż pożytku. Dopiero, gdy koty z za morza sprządzili, przekonali się, że żadne inne zwierzę nie może iść z nami w porównanie.

— Z za morza, matusiu? — spytał mały Kiż, który dotąd drzemał w kąciку, a teraz przebudził się nagle i łebek podniósł — alboż to nasi pra-pra-dziadowie przybyli z za morza?

— Ależ morze to taka ogromna woda, opowiadała nam to mamusia przy lekcji geografji — rzekła Mruczka — więc oni chyba umieli pływać po wodzie, ci nasi pra-pra-dziadowie?

— Skądże ci to znów przyszło do głowy? — odrzekła mateczka. — Opowiadałam wam przecież, że ludzie okrętami żeglują po morzu, oni też na tych okrętach przodków naszych przywieźli z innej części świata, z Afryki.

— Z Afryki, matusiu, z tej ziemi, gdzie to są murzyni czarni, jak węgiel? — pytała Mruczka.

— Więc koty w dawnych czasach z murzynami mieszkały w Afryce? — odezwał się Miż.

— W Afryce nietylko murzyni mieszkają—rzekła Białosia.—Jeszcze wam o tem nie opowiadałam, że w północnej części tego ładu jest rozległy kraj, przez który przepływa ogromna rzeka Nil, a zowie się Egiptem. Mieszkańcy Egiptu nie są zupełnie czarni, mają cerę miedzianą. Niegdyś, w dawnych czasach, był to naród potężny i mądry bardzo, to też poznał się na wartości kotów i zaczął je hodować, aż póki się zupełnie nie przyswoiły i z ludźmi nie zaprzyjaźniły. Egipcjanie naszych przodków narówni z bóstwami swojemi stawiali i czcili w świątyniach. No, jakkolwiek koty z pewnością na największy szacunek zasługują, zawsze już ja sama przyznać muszę, że to był nierozsądek. Życie przodków naszych w Egipcie było prawdziwie rozkoszne, nikt nie poważył się im najmniejszej krzywdy wyrządzić. Teraz, niestety! jest inaczej. Jakże często chłopcy okrutnicy, dręczą koty, topią je dla niego-

dziwej zabawki, i rzadko kto .m w tem przeszkadza. Oho! niechby się taki chłopiec niedobry odważył był na to w starożytnym Egipcie. Byłby niezawodnie śmiercią ukarany.

— Śmiercią! — powtórzył Kiż — jacyż to rozumni i zacni byli ci Egipcjanie! Jaka szkoda, że my nie mieszkamy w Egipcie!

— Nam i tu nie zagraża żadne niebezpieczeństwo — rzekła mateczka — bo w tym domu i rodzice są poczciwi, i dzieci dobre bardzo. Zapewne, zawsze nie to, co w Egipcie. Tam raz zdarzyło się, iż cudzoziemiec, Rzymianin, zabił przypadkiem kota. Ludność cała rzuciła się na niego, rozszarpała go, i o mało z tego powodu nie wynikła wojna pomiędzy dwoma narodami. Tak to, dzieci moje, w dawnych czasach szanowany był ród koci.

— I jakże to się stało — pytała Mruczka — że ci przodkowie nasi wynieśli się z Egiptu, gdzie im tak było dobrze?

— Gdy w Europie rozmnożyły się bardzo szczury i myszy, podobno ogromnemi gromadami nachodziły z Azji, ludzie

żadnym sposobem nie mogli się od nich uchronić. Zasłyszawszy o kotach egipskich, sprowadzili je i zaczęli hodować. Odtąd żyjemy tu w zgodzie z ludźmi, tępimy szczury i myszy, a zato mamy ciepły kąt u nich na zimę i wygody.

L. U N I A.

Lunia była dobrą i miłą dziewczynką, ale miała jedną brzydką wadę: nie lubiła porządku. Książeczki, zabawki, graciki swoje rozmaite zawsze rozrzuciła po pokoju, nie uważała, gdzie co kładzie. Na stole, na krzesłach, na podłodze pełno było zawsze różnych rzeczy, należących do Luni. Mama często ją o to strofowała, ale napróżno.

Raz ciocia przyniosła jej koszyczek pełny truskawek. Lunia zjadła ich trochę, a resztę z koszyczkiem postawiła na kanapie. Potem przypadkiem wywróciła koszyczek, a gdy go nakoniec zabrała, aby poczęstować truskawkami starszego braciszka, który ze szkoły powrócił, nie spostrzegła, że kilka dużych jagód zostało na kanapie.

W parę godzin potem przyszła do mamy w odwiedziny pewna pani w ładnej jasno-

niebieskiej sukni. Mama, nie wiedząc o niczem, prosiła ją, aby usiadła na kanapie. Pani ta, posiedziawszy trochę, wstała i miała już odejść. Możecie sobie wyobrazić, jak się przeraziła i zawstydziła biedna mama Luni, gdy spostrzegła na ładnej, świeżuteńkiej sukni tej pani okropne plamy czerwone, z których ociekał sok truskawek. Domyśliła się zaraz, czyja to sprawka, bo znała dobrze swoją córeczkę.

Nie było innego sposobu, tylko musiała mama ostrzec tę panią, żeby tak na ulicę nie wychodziła i przeprosić bardzo za to, że w jej domu spotkał gościa taki przykry przypadek. A była to osoba obca, która pierwszy raz przyszła do rodziców Luni. Upewniała wprawdzie, że to nic nie znaczy, że pośle po dorożkę, odjedzie do domu i tam się zaraz przebierze, ale pewnie była bardzo niezadowolona i w duszy pomyślała sobie: „Wolałabym była nie przychodzić do domu, gdzie są takie niegrzeczne dzieci“.

Lunia żałowała bardzo swego roztrzepania, płakała nawet rzewnie i szczerze obiecywała poprawę, ale na drugi dzień

znów swoje robiła. Zawsze ze wszystkimi swojemi gratami rozkładała się po krzesłach, kanapach i wszystkich kątach. Raz, krając sukienkę dla lalki, rzuciła nożyczki na duży fotel, stojący w pokoju bawialnym. Weszła piastunka z malutką Maniusią, siostrzyczką Luni i posadziła dziecko na tym fotelu. A wtem Manusia przeraźliwie krzyknęła, bo ostre końce nożyczek skaleczyły ją okropnie. Zbiegli się wszyscy domowi, krew oblała dziecinę, przestach był wielki, a najwięcej podobno przestraszyła się Lunia, gdy zobaczyła, jakie to straszne skutki może mieć nieporządek.

Manusia długo chorowała, nim się rana zagoiła, ale Lunia na zawsze oduczyła się brzydkiej swej wady. Nigdy już nie zdarzyło się jej położyć czegokolwiek nie na swoim miejscu, lub nie poskładać zabawek porządnie.

M I C H A Ł E K.

Michałek był synem jedynym bogatego młynarza; jeszcze w kolebce stracił matkę, ale stara babcia i ojciec kochali go nad życie, pieścili, dogadzali a i psuli potrosze. To też Michałek rósł i o niczem nigdy nie myślał, tylko o własnej przyjemności, o własnej wygodzie: był samolubem. Gdy zjadał smaczną kromeczkę chleba, posmarowaną przez babcię świeżem maselkiem lub powidłami, nigdy nawet odrobiny dla pieska nie zostawił. O ludziach, którzy bywają głodni i nawet suchego chleba nie mają, Michałek nie wiedział. Bawił się tylko z dziećmi zamożniejszych mieszkańców wioski; do uboższych, obdartusów, jak je nazywał, nigdy się nie zbliżał.

Raz Michałek stał nad rzeczulką i zwyczajem swoim coś zjadał, gdy z drugiej

strony nadeszła mała dziewczynka w nędznej, połatanej koszulinie i spódniczce z jakiegoś wyblakłego łachmana. W ręku trzymała dzbanek gliniany, pochyliła się nad rzeczką i zaczęła wodę nabierać. Michałek poznał dziewczynkę: była to córeczka ubogiej wdowy Marcinowej, mieszkającej w pobliżu młyna. Nigdy syn bogatego młynarza nie przemówił do tej małej „łachmaniarki“, ale słyszał, jak inne dzieci wołały na nią: „Jagusiul“ albo: „Jaga!“ gdy z niej szydzić chciały.

— Hej, Jaga! — zawołał więc zniechęta — poco tu wodę czerpiesz wedle młyna? idź sobie dalej!

— A ja nie chcę dalej. Albo mi tu nie wolno? — odpowiedziała mała przekornie.

— Nie chcesz? — wykrzyknął Michałek rozgniewany, że mu się sprzeciwić śmiała — nie chcesz? Ja cię zmuszę, ja cię stąd odpędzę, obaczysz!

— Popróbuj — odrzekła dziewczynka, wzruszając ramionami i pomaleńku, jakby drażnić chciała chłopaka, czerpała wodę w dzbanek.

Michałek, niewiele myśląc, pochwycił kamyk z ziemi i wymierzył, jak mu się zdawało, prosto w dzbanek. Nie był on taki złośliwy, aby chciał biednej dziewczynce krzywdę wyrządzić, a rozbicie dzbanka wydawało mu się zabawnym figlem tylko. Wielkie też było jego zdziwienie i przerażenie, gdy nagle Jagusia krzyknęła przeraźliwie, jakgdyby ją kto zarzywał i upadła twarzą w wodę, a dzbanek potoczył się w inną stronę i rozprysł na drobne kawałki.

Chłopak, patrząc na to, w pierwszej chwili zupełnie głowę stracił, myśli mu się plątały bezładnie. Jagusia leżała jak martwa, była zabita i to on, on tym kamieniem ją zabił! On stał się zabójcą! Michałek widział już raz w swoim życiu zabójcę, straszego człowieka, zakutego w kajdany; żandarmi uzbrojeni prowadzili go do więzienia. Ach! teraz i jego pewnie zakują w kajdany i do więzienia odprowadzą, jeżeli Jagusia naprawdę zabita. Ale może też ona odżyje jeszcze?..

Więc po chwili takiej beczynnej roz-

paczy, Michałek poskoczył na ratunek dziewczynki. Podniósł ją, położył na trawie, na brzegu rzeczki, i serce jego uderzyło radośnie, bo mała otworzyła oczy i znowu krzyczeć zaczęła, chwytając się za nogę. Dopiero wtenczas zobaczył Michałek, że z nogi Jagusi ściekała krew: kamyk ugodził ją powyżej kostki i boleśnie zranił. Chłopak pamiętał, że gdy raz rękę nożem okaleczył, babka mu ranę wodą przeemyła i obwiązała płócienną szmatką. Zaraz też pędem pobiegł do młyna, chwycił swoje prześcieradło z łóźeczka, oddał spory kawałek płótna, znów skoczył do Jagusi i porządnie jej płatkami nogę obwinął.

Dziewczynka patrzyła na niego, milcząc, przestała płakać na chwilę, ale gdy już noga była obwiązana, zaczęła znów zawodzić za stłuczonym dzbankiem. Michałek drugi raz do młyna skoczył i powrócił wnet z nowiuteńkim dzbankiem polewanym.

— Na, masz — rzekł — ładniejszy od twego.

— A ładniejszy — powiedziała Jagusia z uśmiechem — nasz był stary i wyszczerbiony.

I chciała biec do domu pochwalić się przed matką nowym dzbankiem, ale w żaden sposób nie mogła nogą stąpić.

— Co teraz będzie? Ja do domu nie zajdę — rzekła Jagusia, zupełnie udobruchana, do Michałka.

— Chyba ja ciebie zaniosę — odpowiedział chłopak, a że był silny, Jagusia drobna i wątła, więc z łatwością ją odniósł do chatki, gdzie mieszkała jej matka.

Zdziwiła się bardzo Marcinowa, gdy zobaczyła Jagusią niesioną przez Michałka, syna bogatego młynarza, ale dziewczynka prędko jej wytłumaczyła rzecz całą.

— A woda? Jakże ja będę bez wody? — spytała Marcinowa.

— Ja zaraz pełniutki dzbanek przyniosę — zawołał Michałek — niech już pani Marcinowa na mnie się nie gniewa, ja do prawdy przez figle ino ten kamyczek cisnąłem, nie w głowie mi było jej co złego zrobić.

— I pewnie — odezwała się Jagusia — ja także bez potrzeby przekomarzałam się Michałkowi.

— Fige, figle! — rzekła Marcinowa, która tymczasem odwinęła nogę zranioną i obejrzała ją uważnie — a dziewczyna ze trzy dni będzie musiała posiedzieć w domu, i któż mi wody przyniesie?

— Ja przyniosę, pani Marcinowo! — zawołał Michałek — ja będę nosił, póki Jagusia nie wyzdrowieje zupełnie.

A chcąc pokazać, że on to potrafi, pobiegnął chłopak śpiesznie do rzeczki i pełny dzbanek wody przyniósł.

— Jeść, matulu, tak mi się jeść chce — rzekła w tej chwili Jagusia.

— Na, masz pieczone ziemniaki — odrzekła matka.

— Dajcież i soli.

— Soli? Kiej niema, zabrakło; pójdę pojutrze do miasta, to przyniosę.

I biedna Jagusia milcząc zajadała ziemniaki bez soli. Pierwszy to raz Michałek widział takie ubóstwo: on nigdy nie chciał jeść nawet i białego chleba z solą, tylko zawsze mu babcia smarowała to masłem, to twarogiem lub powidłami. Nic nie mówił, pożegnał się z Marcinową i Jagusią,

powrócił do młyna i zastał babcię w domu; przyszła była przed chwilą od kумы organiściny. Michałek opowiedział staruszce szczerze całą swoją przygodę, jak się przełakł okropnie, bo myślał, że Jagusię na śmierć zabił, jak potem dla naprawienia złego podarł prześcieradło i nowy dzbanek oddał Marcinowej. Babcia pokręciła głową, ale nie łajała Michałka, pogłaskała go tylko, mówiąc:

— Złote serce ma ten chłopczysko, tak samo jak nieboszczka matka, co od ust sobie zawsze odjęta, a biednemu dała.

Michałek westchnął, bo czuł, że na tę pochwałę nie zasłużył; nigdy on dotąd od ust sobie nie odejmował dla ubogich, dziś po raz pierwszy zbudziło się w nim nieznanne jakieś uczucie; te ziemniaki bez soli, które zjadała Jagusia stały mu cały dzień w gardle; wkońcu zaczął się przymilać do babci i coś jej szeptać do ucha. Staruszka wzięła klucze, poszła z nim do śpizarni i w kwadrans potem Michałek uradowany, jakby skarb zdobył, szedł śpiesznie do chatki Marcinowej, niosąc na plecach wo-

rek, naładowany przeróżnymi zapasami żywności. Jagusia miała taki podwieczorek. jakiego w życiu swoim jeszcze nie kosztowała.

Ale nie dość na tem; od tej pory zaczęło się wdowie Marcinowej dzać lepiej, bo babka Michałka, stara już, osłabiona, ciągle jej dawała robotę we młynie, wyręczała się nią, a za to suto płaciła i pieńdzmi, i mąką, i innemi pożytecznemi rzeczami. Poczciwa wdowa błogosławiła zawsze Michałka; mówiła, że to on tym kamykiem sprowadził szczęście na Jagusię i na nią. Michalek myślał sobie, że i jemu chyba ten kamyk przyniósł coś dobrego, bo przedtem nie miał pojęcia o tem, jak to przyjemnie dopomóc uboższemu.

ROZTRZEPANIEC.

Dużo jest dzieci roztrzepanych, ale takiego roztrzeпаńca, jak Adaś, to już chyba drugiego niema na całym świecie. A jednak chłopczyk, który skończył lat siedem, powinienby mieć trochę więcej rozsądku od malutkich dzieci. Adaś nigdy nie miał zwyczaju patrzeć przed siebie; nawet wten czas, gdy biegł pędem po pokoju lub po dworze, zawsze miał głowę w bok wykręconą lub dogóry, jakgdyby tam ztyłu, z boku, lub na suficie ciekawe jakieś rzeczy się działy, a nigdy nie widział, co było przed nim na drodze.

Razu jednego pędził tak Adaś zwyczajem swoim z głową dogóry zadartą przez pokój mamy — nie wiem już, dlaczego mu się tak śpieszyło, gdy nagle uczuł ból dotkliwy w łokciu, a w tej samej chwili

usłyszał brzęk jakiś obok siebie. Wtenczas dopiero spojrzął tam, gdzie należało wprzód popatrzeć. Cóż się stało? Oto Adaś, biegnąc, uderzył łokciem o toaletę mamy, zwierciadło przewróciło się i potłukło w drobne kawałki.

Nadeszła mama, zbiegli się wszyscy domownicy na ten hałas; domyślacie się pewnie, że Adasia wyłajano porządnie, podobno leguminy nie dostał na obiad; nie na wiele to się jednak przydało. Chłopczyk nie był zły, żałował bardzo, że mamie taką szkodę wyrządził, przeproszał, obiecywał być uważniejszym, ale po chwili o wszystkim zapomniał.

— Ej, Adasiu, zobaczysz, że kiedyś to roztrzepanie na złe ci wyjdzie — mówiła mama — daj Boże, aby cię tylko jakie nieszczęście nie spotkało! Nieraz widziałeś, że ludzie ociemniaли mają przewodników, bo inaczej nie mogliby unikać różnych niebezpieczeństw po drodze, a chodzą zwykle powoli. Ty zaś pędzisz, jak szalony, a nie widzisz nic przed sobą, chociaż nato ci Pan Bóg dał oczy; jesteś zupełnie jakby ociemniały.

W kilka dni po tym wypadku ze zwierciadłem Adaś biegł przez pokój jadalny, potracił stolik, na którym stał dzbanuszek z mlekiem, dzbanuszek się przewrócił, nie rozbił się, bo był blaszany, ale mleko pociekło strumieniem ze stołu na podłogę.

— Deszczyk leje się z rynny!—wołała malutka Mania, młodsza siostrzyczka Adasia — jaki śliczny deszczyk biały!

Piesek Dżalmuś spał przy kominku; usłyszawszy brzęk dzbanuszka, zbudził się, spojrzął, poskoczył do mleka i zaczął z wielkim smakiem wylizywać strumyczek, płynący po podłodze. Mania śmiała się, kłacząc w rączki, a Adaś zapomniał zupełnie, że to on roztrzepaniem swoim taką psotę spłatał i śmiał się także serdecznie.

Nadbiegła służąca; nie potrzebowała nawet się pytać, kto to zrobił, bo odgadła odrazu, że to sprawka Adasia; zaczęła gderać, ale chłopczyk wcale na to nie zważał, poleciał dalej, uderzył głową o drzwi, na ganku potknął się o ławeczkę i upadł jak długi; niebardzo się jednak potłukł, więc zerwał się żwawo i pędził dalej.

Ale tego samego dnia wieczorem roztrzępanie Adasia daleko gorsze miało skutki.

Rzecz dziwna: nigdy on nie chodził krokiem zwyczajnym, tylko pędem biegał, roztrącając wszystko po drodze, zagawroniony gdzieś w sufit, myśląc o niebieskich migdałach. Tak więc leciał i tego wieczora znowu przez pokój jadalny i z całej siły potrącił stolik, na którym stał nie dzbanuszek z mlekiem, lecz ogromny samowar z wodą wrzącą.

A w tej samej chwili, gdy Adaś miał już dalej pędzić, nie spostrzegłszy nawet co się stało, ozwał się krzyk straszny, przeraźliwy: był to głos malutkiej Mani. Dziewczynka siedziała na podłodze w pobliżu stolika; w chwili, gdy Adaś ten stolik potrącił, samowar się przewrócił, i woda wrząca wylała się wprost na Manię.

Ach! co się tam działo, to już nawet opisać trudno. Dziecko, straszliwie oparzone, prawie od przytomności odchodziło, krzyczało wniebogłoso. Mama przerażona pochwyliła ją na ręce, zerwała sukienki, ka-

zała przynieść jak najspieszniej wody gulardowej, maczała płatki i przykładła do bolącego ciała. Nikt nie miał czasu łajać Adasia, i pewnie żadne największe łajanie nie wywarłoby na nim takiego wrażenia, jak widok biednej siostrzyczki, która z jego winy tak okropnie cierpiała. Rozpłakał się rzewnie, stanął w kąciku, nie śmiał się zbliżyć do Mani, tylko zdaleka patrzył na nią z przerażeniem wielkiem.

Teraz dopiero Adaś poznał, jak słusznie mama mówiła, że roztrzepanie może go doprowadzić do wielkiego nieszczęścia; żałował tego serdecznie. Nikt teraz na niego nie zważał, wszyscy byli zajęci biedną Manią; posłano po doktora, ale ten mieszkał o milę w miasteczku, i dwie godziny upłynęły, nim przyjechał. Przez cały ten czas Adaś nie ruszał się ze swego kącika i ciągle tylko powtarzał, płacząc cichuteńko:

— O Boże, dobry Boże! zlituj się na de mną, pozwól, ażeby Mania wyzdrowiała, a już postanawiam poprawić się z tej okropnej wady roztrzepania. O Boże, nie karz mnie tak strasznie!

Przyjechał nareszcie doktor, obejrzał Manię, powiedział, że bardzo silnie jest poparzona, że długo cierpieć będzie, ale przy troskliwych staraniach pewnie z tego wyjdzie.

Tak się też stało: długo Mania chorowała, po nocach sypiać nie mogła, bo jej ból strasznie dokuczał, a gdy przychodzić zaczęła do siebie, była taka blada i mizerna, że serce się krajało, patrząc na nią. Adaś pewnie nie cierpiałby więcej, gdyby sam chorował i ból znosił na jej miejscu. Mama widziała ten szczerzy żal jego i nie łajała go nawet i później, gdy trwoga o Manię już przeminęła, bo łajanie nie było potrzebne, skoro chłopczyk czuł tak głęboko swoją winę. Żadna mama nie łaje dzieci bez potrzeby, ale tylko dla własnego ich dobra. Mania wyzdrowiała na koniec zupełnie i zapomniała prędko o swoich cierpieniach, ale Adaś nigdy o tem nie zapomniał i raz na zawsze pozbył się roztrzępania. Chodzi odtąd po pokoju bardzo uważnie, a biega zwykle tylko po dziedzińcu, gdzie jest dużo miejsca, albo w po-

koju wtenczas, kiedy niema ani samowara z wrzącą wodą, ani lampy zapalonej, i nigdy przytem nie gawroni się na sufit, lecz patrzy przed siebie, jak wszyscy rozsądni ludzie.

NIEDROGI PISTOLET.

Adaś zobaczył raz u znajomego chłopczyka, Ignasia, prześliczny pistolet. Nabijany był korkiem, a gdy korek wylatywał, pistolecik pukał tak głośno, że Mania, siostrzyczka Adasia, aż krzyczała z przestraschu i uszki sobie zatykała. Adaś nie bał się pukania, tylko wołał za każdym razem: „Pa! pa!” i obaj z Ignasiem śmiali się z Mani, że jest taka bojaźliwa. Ignas opowiadał Adasiowi, że są jeszcze w sklepach inne pistoleciki, co się nabijają pistonami i głośniej pukają. Ale mama nie chciała mu takiego kupić, bo te pistony są bardzo niebezpieczne dla dzieci: mogą wyskoczyć z pistolecika przy strzelaniu, okaleczyć, wpaść w oko, niejedno dziecko od tego oślepiło. Korek także strzela doskonale, a nie jest niebezpieczny.

Adaś przez kilka dni myślał ciągle o tym ślicznym pistoleciku i prosił mamy, żeby mu taki sam kupiła. Mama powiedziała, że teraz nie ma pieniędzy, bo musiała właśnie kupić nowe trzewiczki dla Mani, a dla Józi, starszej siostrzyczki Adasia, która już chodzi na pensję, książeczki szkolne, nie pozostało więc ani grosza na zabawki. Adaś nadał się brzydko bardzo, buzię nadał, czoło zmarszczył, a gdy Mania przybiegła do niego i zapytała grzecznie o coś, on ją odtrącił i krzyknął:

— Idź sobie! Nie dokuczaj mi!

— Cóż to się stało Adasiowi, że w takim złym humorze? — spytał wujcio, który na to właśnie wszedł do pokoju.

— Chciałby dostać pistolecik z korkiem — powiedziała mama — i tak ładnie prosi o niego.

Adaś zawstydził się okropnie, miał wielką ochotę płakać, ale się powstrzymał i pobiegł grzecznie przywitać się z wujaszkiem.

— Nie dziwię się wcale, że Adaś wzdycha do pistoletu — rzekł wujcio — bo i ja

sam bardzo lubię pukać ze strzelby do zajęcy, do kuropatw: pif, paf! pif, paf! Wiesz co, chłopcze, gdybym tak wiedział, że nie będziesz już się napierał i dokuczał mamie, a potem, gdybyś przeprosił mamę i Manię także za to, żeś tak niegrzecznie ją potracił, tobyśmy sobie zrobili pyszny pistolet papierowy.

— Papierowy pistolet!... — rzekł Adaś, kręcąc główką z niedowierzaniem — a jakże papier może strzelać?

— Głośniej daleko od pistolecika z korkiem — mówił wujcio — ale jeżeliś ciekawy...

— O, wujciu, proszę zrobić pistolet.

— A cóż to ja powiedziałem? — odrzekł wujcio — pistolet zrobić, to fraszka, ale mówiłem, że zrobię, jeżeli ty... no, cóż to ja mówiłem?

Adaś pobiegł pędem do mamy, pocałował ją w rączkę tak głośno, jakgdyby z pistoletu wystrzelił, potem schwycił Maniusię za szyjkę i wyściskał ją, powtarzając:

— Przepraszam, przepraszam, siostrzyczko, nie gniewasz się?

— Nie, nie, tylko mnie już puść! — wołała Manusia.

— A teraz niechże wujcio pistolet zrobił — rzekł Adaś.

Wujcio wziął arkusz grubego, mocnego papieru, złożył go bardzo jakoś dowcipnie, potem długo dmuchał w ten papier, nadał go jak pęcherz, podniósł, uderzył raptem w rękę — i pał papier naprawdę huknął głośno, prawie jak prawdziwy pistolet, daleko głośniej od pistolecika z korkiem. Adaś chciał sam spróbować, ale nie mógł żadnym sposobem tak dobrze nadać papieru, więc wujcio wystrzelił jeszcze kilka razy, aż wkońcu papier się rozdarł.

— E, to nic—powiedział wujcio—gdyby się nam kupiony pistolecik popsuł, toby go trudno było naprawić, ale papieru dosyć jest w domu.

I zrobił wujcio drugi taki papierowy pistolet, mniejszy troszkę, a Adasiowi nakoniec udało się nabić go i wystrzelić, nie tak głośno, jak wujciowi, ale zawsze niezłe.

— Mój wujciu, co to tam tak zabawnie strzela w tym papierze?—zapytał chłopczyk.

— Powietrze—odpowiedział wujcio. — Dmuchaając w ten woreczek papierowy, napychamy tam dużo powietrza i jemu tam ciasno się robi w takiej ciupce, więc ra-deby się wydostać. Widzisz, jak papier wy-dyma się na wszystkie strony; to powietrze tak go naciska. Gdy ja raptem uderzę o rękę torebkę papierową, nadętą mocno, otwierają się w niej szparki i powietrze szybko się wymyka, a przytem sprawia taki łoskot.

Adaś bawił się doskonale pistoletem pa-pierowym, a gdy w miesiąc potem nadeszły jego imieniny, mama kupiła mu na wiąza-nie śliczny pistolecik z korkiem. Nie do-stałby go był z pewnością, gdyby się był dłużej napierał, grymasił i nie przeprosił mamy wporę.

WOJNA Z MUCHAMI.

Zygmus był to grzeczny i ładny chłopczyk pięcioletni, miał oczka wesołe, błyszczące, twarzyczkę rumianą, ładne, uśmiechające się usteczka; miło było popatrzeć na niego, wszyscy go kochali w domu: rodzice, i bona, i służący. A jednak ten sam Zygmus czasem, gdy mucha mu na nos siadła, tak się odrazu zmieniał, że trudno go było poznać. Oj, te muchy niedobre, ile to one szkody wyrządzają po domach, gdzie są dzieci! Bo muchy zwyczajne, które latają i brzęczą, latem tylko dokuczają ludziom, ale te inne, jak się gdzie wnącą, przez cały rok, czy wiosna, czy lato, czy jesień, czy zima, nigdy się ich pozbyć nie można.

Miał i Zygmus taką muchę nieznośną, ona go do różnych brzydkich rzeczy na-

mawiała. Czasem z rana wstaje Zygmus, bona go zaczyna ubierać, a tu mucha się zjawia; nie widać jej, bo ona gdzieś tam dobrze schowana w nosku Zygmutia, ale zaraz można poznać, że już jest.

— Ja nie chcę czesać się grzebieniem!— woła naprzykład Zygmus— ja sam zaczeszę się szczotką, grzebieniem nie potrzeba, ja nie chcę!

Bona tłumaczy, że wszyscy czeszą się grzebieniem, że główka niezaczesaana wygląda bardzo brzydko, jak strzecha, a Zygmus sam nawet i szczotką zaczesać się porządnie nie potrafi. Nic to nie pomaga, bo mucha jest strasznie uparta i jak podszepnie Zygmutiowi jaką niedorzeczność, on to raz po raz powtarza, a zaraz przytem usteczka mu się wykrzywiają, czoło się namarszcza, oczka błyszczą inaczej, gniewem, nie wesołością: ani podobny ten Zygmus z muchą do grzecznego Zygmutia!

Jeżeli bona nie zważa na to i chce go koniecznie zaczesać, Zygmus zaczyna krzyzczyć, wyrywa się, kręci główką na wszystkie strony, a czasem tak płacze, jakgdyby

to było coś bardzo złego czesać się grzebieniem.

— Ja nie chcę! ja nie chcę! — woła z całej siły — ja chcę, żeby moja głowa była taka, jak strzecha!

Zygmusć wie dobrze, że to nierozsądnie, ale jak go taka brzydka mucha opanuje, w żaden sposób nie umie się jej pozbyć i robi wszystko, do czego ona go namawia.

Czasem Zygmusć pobrudził sobie czemś rączki przy zabawie, a tu dają obiad albo podwieczorek; bona woła go do drugiego pokoju, żeby rączki umył, bo to bardzo nieładnie brać chleb lub bułeczkę brudnymi rączkami. Ale mucha już jest i szepcze tylko Zygmusiowi, że myć się nie trzeba, a on zaraz woła wniebogłosy:

— Ja nie chcę się myć, ja chcę mieć brudne ręce!

Raz zdarzyło się, że mama nie pozwoliła wieczorem Zygmusiowi wyjść do ogrodu, bo było zimno, a on trochę kaszłał. Toż dopiero była robota z muchą! Chłopczyk zaczął płakać, pobiegł do drzwi, próbował otworzyć, uderzał piąstkami z całej siły,

a potem krzyczał tak głośno, że w całym domu było go słycać.

— Ja pójdę do ogrodu! Ja koniecznie chcę pójść do ogrodu!

A gdy go rączki zabolaly od uderzania o twarde drzwi, podniósł nóżkę, uderzył z całej siły, ale drzwi się wcale nie otworzyły, tylko Zygmus zatoczył się i upadł, jak długi, na podłogę. Stłukł sobie główkę i kolanko, krzyczał też i płakał z pół godziny, aż póki brzydka mucha nie odleciała. Wtenczas nasz Zygmus uspokoił się zupełnie, wróciła mu wesoła minka, i bawił się bardzo grzecznie przez cały wieczór.

Raz przyjechała na parę tygodni do rodziców Zygmutia ciocia; Zygmus nie znał jej prawie, bo mieszkała daleko i rzadko kiedy z domu wyjeżdżała. Ciocia była bardzo wesoła, zaprzyjaźniła się prędko ze swoim małym siostrzeńcem, opowiadała mu ładne powiastki i bajeczki, bawiła się z nim wybornie, a Zygmus pokochał ją niezmiernie.

Przez trzy dni mucha nie pokazała się w domu, aż czwartego dnia zjawiła się

niespodzianie. Zygmuśowi przyszło do głowy wozic po pokoju wózek z kamykami, a mama na to nie pozwalała, bo od tego wożenia był straszny hałas. Powiedziała mama, że taki wózek dobry tylko do ogrodu; w pokoju tak hałasować nie można. A mucha zaraz po swojemu szepnęła Zygmuśowi, żeby się uparł i mamy nie słuchał. Bardzo to brzydko, że dzieci wolą często słuchać takiej muchy, aniżeli mamy. Zygmuś nie zawstydział się nawet ciotki i dalejże wołać i krzyczeć:

— Ja chcę wozic kamienie po pokoju! To nic nie szkodzi, że wózek stuka! Ja chcę!

— Oho! — zawołała ciotka — to i u was, jak widzę, jest ta niedobra mucha. Znam ja ją bardzo dobrze, ale myślałam, że Zygmuś umie ją wypędzać. To bardzo łatwo, ja zaraz pokażę, jak się to robi, o! Nieraz ja już taką muchę wypędzałam! Ja tu ją wystraszę, zobaczycie. Dajcie mi tylko parę gałązek.

Mama przedziutko podała ciotce dwie gałązki, a były właśnie w pokoju świeżo

zerwane do opędzania much zwyczajnych. Ciocia jedną podała Zygmuśowi, a drugą sama wzięła; chłopczyk przestał krzyczeć, bo ciekaw był bardzo, co to ciocia robić będzie. Ona zaczęła biegać po pokoju, potrząsając gałązką, i wołała:

— A husz! ty niedobra mucho, a husz! a husz! Zygmuś, pomóżże mi, pędź tę muchę! Taki dzielny chłopczyk z ciebie, wstydz się, nie daj się musze! Pędźmy ją razem; zobaczysz, że ucieknie.

I dobrze ciocia mówiła: jak tylko Zygmuś wyskoczył na środek pokoju z gałązką i zaczął pędzić muchę, wołając za ciocią: „A husz! a husz!“, w tej chwili mucha odleciała. Potem zaraz ciocia zabrała wózek i odwiozła do ogrodu, Zygmuś popychał ztyłu, bo ciocia mówiła, że trzeba jak najprędzej ten wózeczek sprzątnąć, żeby mucha czasem nie wróciła, bo ona bywa strasznie uparta: wypędzi się ją drzwiami, a ona oknem wlatuje znowu.

Ale nie powróciła już mucha dnia tego; dopiero nazajutrz zjawiała się przy ubie-

raniu Zygmunia; na szczęście, ciocia była w drugim pokoju już ubrana, przybiegła zaraz z gałązkami, i z pomocą Zygmunia natrętną muchę wypędziła. Odtąd za każdym razem tak było: jak tylko mucha chciała dokazywać, natychmiast zabierano się do wypędzania, a po wyjeździe cioci, mama albo bona podawała jak najprędzej Zygmunsiowi gałązkę, a on machał nią na wszystkie strony i wołał:

— A husz! Ty brzydka mucho! Idź sobie, a husz!

Ciocia wytłumaczyła także Zygmunsiowi, że to mucha uczy dzieci mówić: „Ja chcę, ja nie chcę!“, bo grzeczne i posłuszne dzieci nigdy tego nie mówią, tylko o każdą rzecz proszą starszych, pytają, czy można to zrobić, czy można to wziąć, a jeżeli im odpowiedzą, że nie można, nie napierają się wcale. Jak tylko Zygmunsiowi przyszła kiedy ochota mówić: „Ja chcę!“ albo: „Ja nie chcę!“ przypominał sobie zaraz, że to mucha pewnie go do tego namawia, i że wstyd, aby chłopczyk rozsąd-

ny nie umiał się z taką muchą rozprawić i jej namowy słuchał.

Radzimy wszystkim dzieciom, ażeby spróbowały tego sposobu na muchy, który się tak dobrze udał Zygmusiowi.

ZIMNA WODA.

OPOWIADANIE WUJASZKA.

Będąc jeszcze małym chłopczykiem, niczego tak się nie obawiałem, jak zimnej wody. Wstyd mi teraz przyznać się do tego, ale postanowiłem opowiedzieć wam całą prawdę o sobie. Pamiętam, jak piastunka moja, poczciwa Marjanna, różnych sposobów używała, aby mnie namówić, żebym się grzecznie dał umyć i wytrzeć całe ciało zimną wodą.

— Patrz, Janeczku, papuga grzeczna nie płacze — mówiła Marjanna, wskazując papugę. — Niechże i Janek nie płacze, bo to wstyd.

— Dziwo, że papuga nie płacze! — odpowiadałem, wyrywając się z rąk piastunki — czegoż ma płakać, kiedy jej nikt nie myje zimną wodą?

Marjanna nic już nie odpowiadała, tylko żwawo uwijała się z gąbką, umaczną w zimnej wodzie, a ja za każdym dotknięciem krzychałem wniebogłosey. Muszę tu wytłumaczyć kochanym czytelnikom, ażeby się zanadto temu nie dziwili, że byłem jedynakiem. Dwaj starsi braciszczkowie moi i jedna siostrzyczka przed urodzeniem mojem jeszcze poumierali, więc byłem trochę zanadto pieszczony. Dogadzano mi we wszystkim, tylko co do zimnej wody matka nie chciała ustąpić, bo to szło o zdrowie ukochanego gagatka.

W domu naszym mieszkała także babcia, a i ona pieściła mnie tak samo, może jeszcze więcej od wszystkich. Płacz mój codzienny przy tem myciu sprawiał jej wielką przykrość, więc dnia pewnego wyprawiała Marjanę z pokoju, gdy nadeszła pora tej męczarni mojej, mówiąc, że ona sama Janka umyje.

— Ja nie chcę się myć! — wołałem, płacząc zwyczajem swoim — tylko twarz i ręce, ja nie chcę tej brzydkiej gąbki!

— Słuchaj-no Janeczku — rzekła bab-

cia — czy ty widziałeś portret dziadunia? Czy on ładnie wygląda na portrecie?

— Czy ładnie dziadunio wyglądał? Ach, jak prześlicznie! Miał mundur, pałasz przy boku, w rękę trzymał czapkę. Ile razy wchodziłem do pokoju babci, nie mogłem się napatrzeć na ten portret.

— Patrz, co ja tu mam dla ciebie — mówiła babcia i wyjęła z pod fartuszka cudną czapeczkę, zupełnie taką, jak u dziadunia, i pałaszik dała w rękę, a ja ani nie spostrzegłem, że mię zarazem rozebrała donaga, jak to się zwykle robiło do mycia.

— Teraz z ciebie dzielny żołnierz, Janeczku — mówiła babcia — powinieneś naśladować dziadunia. Żołnierz nie boi się niczego. No, dalej, śmiało, marsz do ataku! Dzielny wojak nie cofa się nigdy, to hańba! Dziadunio walczył mężnie, wnuk nie powinien obawiać się zimnej wody!

Babcia mówiła to wszystko tak uroczyście, że uczułem jakąś niezwykłą odwagę, pomaszerowałem śmiało do dużej miednicy, napełnionej zimną wodą, i ani pisną-

łem, gdy babcia gąbką umaczną obmy-
wała mnie należycie. Odtąd ile razy krzy-
wiłem się do płaczu przy myciu, zaraz
babcia kazała mi wkładać czapczkę woj-
skową i pałasik brać do ręki, a natych-
miast maszerowałem do ataku z dobrą mi-
ną. Tym sposobem odczyłem się tego
brzydkiego tchórzostwa i pogodziłem się
z zimną wodą.

TEMISTOKLES.

Oleś pojechał na wakacje do cici na wieś, bawił się tam wybornie z braciszkiem ciotecznym, Michasiem, a obu chłopczykom największą przyjemność sprawiało, gdy ciocia dała im jakąś prawdziwą robotę, czy to w ogrodzie, czy koło gospodarstwa.

Pewnego dnia ciocia dała im dużą piłę, pokazała kilka zeschniętych gałęzi na drzewach i poleciła, ażeby je odpiłowali. Piła za ciężka była dla jednego, ale we dwóch Oleś z Michasiem doskonale ją podnosili i pierwszą gałąź odcięli prędko i bardzo zręcznie.

Ale potem niewiadomo o co się posprzeczali. Michaś mówił, że Oleś za nisko piłę trzyma, Oleś utrzymywał, że to właśnie Michaś za wysoko ją podnosi. Żaden ustąpić nie chciał; skończyło się na tem, że

porzucili robotę, rozeszli się nadąsani każdy w inną stronę.

Ciocia nadeszła w parę godzin później; myślała, że już wszystkie suche gałęzie poćcinane, zdziwiła się też bardzo, widząc piłę leżącą na ziemi, a chłopczyków nie było ani śladu. Spotkała nareszcie Olesia i zapytała, co to się stało.

— Proszę cioci, ten Michaś taki nudny, uparł się koniecznie...

— Co, co!—przerwał w tej chwili Michaś, który był w pobliżu i nadbiegł zaraz — niech mama nie wierzy, to on się uparł, nie ja!

— Ależ nie, ciociu, to nie ja, to on!—powtarzał Oleś.

— Już ja tam nie wiem, który z was winien—mówiła pani Barska, ciocia Olesia, a mama Michasia — dość, że moja robota nieskończona. Muszę teraz odrywać ogrodnika od ważniejszych zajęć, bo trzeba koniecznie te suche gałęzie poćcinać. Polegałam na was i pięknieście się popisali.

— Ale cóżem ja winien, moja mamó?—mówił Michaś.

— Cioteczko, to doprawdy nie moja wina: Michaś taki kłótnik!

— To nie ja, ale ty kłótnik! — wołał znów Michaś zaperzony.

— Obaj jesteście kłótniki i samoluby— rzekła pani Barska—zapomnieliście zupełnie o mojej robocie dla marnej swojej sprzeczki. Bylibyście mi przysługę zrobili, ścinając te gałęzie, ale wyście woleli dogodzić swoim nedorzecznym gniewom. Niezgoda można dużo złego wyrządzić i sobie i innym ludziom; niech was Bóg broni, moje dzieci, od tego zgubnego nałogu w dalszem życiu. Czy wiecie, kto to był Temistokles?

— To był Ateńczyk, wielki wojownik, wódz znakomity z czasów starożytnych — zawołali obaj chłopcy jednocześnie.

— Bardzo dobrze — mówiła pani Barska — ale ja wyliczać nie będę wojennych czynów Temistoklesa, opowiem tylko drobne zdarzenie z jego życia, które nawet i wam za naukę posłużyć może. Gdy niezliczone wojska Persów napadały na Greków, drobne państewka greckie, niezawsze zgodnie żyjące z sobą, zapomniały na ten raz o kłót-

niach, zebrały się razem, aby odeprzeć nieprzyjaciela wspólnymi siłami. Temistokles, znakomity wódz ateński, zaczął dnia jednego ważne jakies rzeczy przekładać wodzowi spartańskiemu. Temu się to nie podobalo i do tego stopnia się zapomniał, że podniósł rękę na Temistoklesa. Cóżbyś ty zrobił, Michasiu, albo ty, Olesiu, gdyby który z was był na miejscu wodza ateńskiego? Oj, z pewnością skończyłoby się na strasznej kłótni i bitwie pomiędzy wodzami, a Persowie skorzystaliby z tego i pokonali łatwo wojsko bez wodzów.

— O, moja mamó, to zupełnie co innego... — mówił Michaś.

— Jak też ciocia może porównywać — dodał Oleś.

— Ba! kto przywyknie myśleć o sobie, kto nie umie ustąpić w małych rzeczach, nie potrafi się przewyciężyć i w ważniejszych. Temistokles jednak nie zapomniał o niebezpieczeństwie kraju, swoją zaś osobę mało ważył w takiej chwili, odrzekł więc najspokojniej wodzowi spartańskiemu: „Bij, ale słuchaj!“. Łatwo się domyśleć, że tamten

zawstydział się swej popędliwości i zamiast uderzyć tak zacnego i mądrego obywatela, podał mu rękę do zgody. Grecy połączonymi siłami zwyciężyli Persów.

Chłopcy spojrzeli na siebie, potem uściskali się serdecznie, pobiegli do roboty, a w godzinę wszystkie suche gałęzie były poćcinane i uprzątnięte.

K R Ó L I K.

Wujaszek darował Maryni ślicznego, żywego królika pod warunkiem, że sama będzie o nim pamiętała. Dobrze to bardzo, gdy dzieci opiekują się zwierzątkami, myślą o ich potrzebach i wygodach; ale nierozsądnie było ze strony Maryni, że chciała koniecznie swego królika trzymać w pokoju; kładła go na fotele, na kanapy, na łóżka i pozwalała mu wszędzie biegać. Mamy dnia tego nie było w domu, wyjechała w sąsiedztwo z tatką, a starej służącej Katarzyny dziewczynka za nic słuchać nie chciała. Katarzyna jednak bardzo słusznie mówiła, że królikowi żadnej się łaski nie robi, biorąc go do pokoju, bo jemu lepiej na dworze, on nie przywykł siedzieć w zamknięciu, a może dużo szkody zrobić w pokojach.

Tak się też stało: królik podarł pazurkami pokrycie na kanapie, foteł pobrudził okropnie jakimś jedzeniem, a mama, powróciwszy wieczorem i zastawszy taki nieporządek w domu, rozgniewała się i zaraz nazajutrz rano kazała odesłać królika wujaszкови. Nic nie pomogły prośby, a nawet łzy Maryni; mama powiedziała, że nie może się zwierzątkami opiekować, kto się z nimi obchodzić nie umie.

Dopiero w parę miesięcy potem, gdy Marynia przez cały ten czas była bardzo grzeczna i posłuszna, pozwoliła mama przynieść znowu tego samego królika. Ale dziewczynka była już teraz rozsądniejsza, trzymała go w szopce, tam kilka razy do niego chodziła, dawała mu jeść listeczki kapusty i inne jarzynki, stawiała czystą wodę w miseczce. Królik wykopał sobie norę w ziemi, i bardzo mu tam było dobrze. Marynię tak polubił, bo go karmiła sama, że głos jej poznawał, i jak tylko weszła do szopki, zaraz łebek z nory wystawiał.

CO SIĘ ROBI Z PIASKU?

Polcia jest bardzo dobrą i rozsądną dziewczynką; wie, że mama nie ma pieniędzy na kosztowne zabawki, więc bawi się grzecznie czemkolwiek, lubi naprzykład przesypywać piasek w małych garnuszekkach glinianych. Raz właśnie kucharka kupiła dużo białego, wiślanego piasku u chłopaka i przyniosła dla Polci do pokoju całą miseczkę. Mama pozwala bawić się suchym, czystym piaskiem, a Polcia uważa, żeby nie rozsypywać na podłogę.

Kostuś, o rok starszy braciszek Polci, umie już zabawić się książeczką z obrazkami, czyta nawet dosyć gładko wszystkie napisy i Polci nieraz coś wytłumaczy. I teraz właśnie oglądał obrazki, powtarzając sobie głośno, co z mamą czytał przy lekcji dzisiejszej.

— Drzewo — mówił Kostuś — a co się z drzewa robi, wiesz, Polciu?

— O, wielka sztuka! — odpowiedziała dziewczynka — stoliki, szafy, krzesła; z drzewa mnóstwo rzeczy się robi.

— Drzewo jest bardzo pożyteczne — rzekł znów Kostuś, przewracając kartki swojej książeczki — i żelazo pożyteczne, z żelaza także mnóstwo różnych rzeczy robią. Ale ten twój piasek — dodał, patrząc na zabawę siostrzyczki — to do niczego niezdatny.

— Czemu niezdatny do niczego? Ja tak lubię przesypywać piasek, on właśnie do tego zdatny.

— Wielkie rzeczy! — mówił Kostuś — do zabawy dla dziewczynek jest zdatny.

— No i dla chłopczyków przecież — odrzekła Polcia. — Alboż to chłopczyki nie mogą się także bawić piaskiem, jeśli chcą?

— Ale nie chcą — odparł Kostuś. — Co mi to za zabawa! Jeszcze latem, na dworze, to co innego; w pokoju tylko małe dzieci mogą tak przesypywać piasek z jednego garnuszczyka w drugi.

— Małe dzieci! Jaki mi bardzo duży! Jeden rok masz więcej ode mnie; za rok będę taka sama, jak ty.

— Nie, nie będziesz taka sama, bo ja przez ten rok urosnę i zawsze będę starszy od ciebie.

— E, co tam, czy to wstyd być małą — mówiła Polcia, która nigdy z braci-
szkiem się nie sprzeczała długo, chyba żar-
tem — a piaskiem jednak będę się bawiła;
cóż to szkodzi?

— Baw się sobie piaskiem, mnie to także nic nie szkodzi, tylko nie mów, że on jest pożyteczny. Piasek na nic niepo-
trzebny na świecie, nie wiem nawet, poco Pan Bóg tyle tego piasku stworzył.

— A czy tak bardzo jesteś pewny, mój Kostusiu, że piasek na nic niepotrzeb-
ny? — odezwała się mama, która z boku tej rozmowy dzieci słuchała.

— A do czegoż on jest potrzebny, moja mamó — rzekł Kostuś — kiedy z niego nic zrobić nie można, nawet bicza ukreć? Wczoraj stryjaszek mówił: z piasku bicza nie ukreć.

— Bicza nie ukręci, to prawda — mówiła mama z uśmiechem — ale z piasku robi się coś daleko pożyteczniejszego od bicza.

— Z piasku? A cóż to z piasku się robi, moja mammo? Nigdy o tem nie słyszałem.

— I ja także nie słyszałam, żeby z piasku co ludzie robili — zawołała Polcia i przybiegła do mamy, porzucając swoją zabawę. — Niech mamunieczka opowie, co to takiego z piasku się robi.

— Jak też wam się zdaje, moje dzieci — mówiła mama — czy szklanki, karafki, szyby w oknach są pożyteczne?

— Szklanki, szyby? no zapewne; ale niech mama wprzód opowie o tem, co to z piasku się robi — rzekł Kostuś.

— Właśnie też o tem chcę mówić. Z piasku robi się... zgadujcie! Nie możecie? no, to już powiem: z piasku robi się szkło.

— Z piasku szkło? — wołały dzieci, składając ręce z wielkiego podziwu. — Jakże to z piasku można szkło zrobić? Mama chyba żartuje...

*

— Z czegoż więc myślicie, że się szkło robi?

— Z czego? Alboż ja wiem? Ja o tem nie myślałem nigdy — rzekł Kostuś.

— Ani ja także — dodała Polcia.

— Więc dowiedzcież się teraz, że szkło robi się z pięknego, czystego piasku.

— Ale jakimże sposobem?

— No, niebardzo to łatwa sprawa, my tego zrobić nie potrafimy z tego piasku, kupionego dziś od chłopaka. Trzeba najpierw piasek stopić na bardzo silnym ogniu, a wielki z tem jest kłopot, bo żeby się roztopił, muszą dodawać do niego czegoś podobnego do popiołu, sody lub potażu naprzykład. Razem z takim popiołem piasek topi się na ciecz wodnistą, a wtenczas wieceż, co z tem roztopionem szkłem robią, ażeby mieć szklanki, karafki i inne naczynia?

— Cóż takiego, mamusiu?

— Z tej cieczy wydymają bańki, tak zupełnie, jak dzieci robią bańki z mydła.

— Ależ to strasznie musi być gorące, oni się mogą oparzyć, ci ludzie, co to robią.

— To też nie robią tego dzieci, tylko robotnicy bardzo roztropni. Mają długie rurki i ostrożnie, pomaleńku dmuchają, a tak są wprawni, że robią tym sposobem te wszystkie naczynia, które my po sklepach kupujemy. Gdy szkło wydęte ostygnie, twardnieje i można je brać do użytku.

— Butelki, szklanki, to rozumiem—mówił Kostuś—ale jakże oni potrafią wydymać ogromną, płaską szybę? Z mydła tylko okrągłe, kuliste bańki się wydymają, wewnątrz próżne.

— Jest jednak sposób i na to — odrzekła mama—płaskie szyby tak się robią: wydymują najpierw ogromną, podługowatą bańkę, niby rurę, potem, nie czekając aż ostygnie, rozcinają ją przez środek, rozciągają i spłaszczają.

— A to dopiero pomysł! — zawołał Kostuś.

— Widzisz, widzisz — mówiła Polcia— teraz już nie powiesz, że piasek na nic niepotrzebny na świecie.

— Takie dmuchanie ustami jest jednak bardzo męczące — powiedziała jeszcze ma-

ma — więc niedawno wymyślono specjalne przyrządy, które dmuchają w rurki zapomocą miechów, a tym sposobem ułatwiają pracę robotnikom. Przyrządy te są używane w większych fabrykach szkła, ale i dawniejszy sposób nie wyszedł jeszcze z użycia.

WSZYSTKORUSZ.

- Władziu, nie ru z tego!
- Władziu, nie kładź tam paluszka!
- Zostaw to, Władziu!

Ach! nieznośny wszystkorusz!

Takie wykrzykniki słyhać było często w domu pewnych państwa, rodziców Władzia. A nie był to wcale bardzo mały chłopczyk, ten Władzio: miał już ósmy rok, umiał czytać i pisać, uczył się nawet pilnie i dobrze. Domyślcie się pewnie, dla czego go przezwano „Wszystkoruszem“. Władzio miał taki zwyczaj, że każdej rzeczy musiał się dotknąć, wszędzie, swoje łapki wścibić. Ile on szkody tym sposobem robił w domu, to i opowiedzieć trudno, bo był przytem bardzo niezręczny i roztrzepany. Chwycić coś nieostroźnie, zepsuć, upuścić na ziemię i rozbić, to by-

ły codzienne sprawki naszego Wszystkoru-
sza. Nawet malutka Andzia, która dopiero
mówić zaczynała, słysząc, że wszyscy w do-
mu tak nazywali braciszka, jak tylko go
zobaczyła, wyciągała paluszek i, wskazu-
jąc go, wołała:

— Sitkolus! Sitkolus!

Raz Władzio wbiegł do pokoju ojca
i zobaczył na stole flaszkę kamienną odkor-
kowaną.

— Co też tam może być w tej flaszcze?—
mówił Władzio sam do siebie. — Może
jaki słodki syrop? A może to pachnie?
Trzeba powąchać.

I, zwyczajem swoim, wyciąga ręce,
chwyta flaszkę, przechyla... I czarna stru-
ga wylewa się nagle na Władzia, bo
flaszką była pełna atramentu. Ubranie po-
plamiło się nanic, ręce ze trzy dni były
czarne, jak u murzyna, chociaż szorowano
je mydłem rano i wieczorem, i twarzy
trudno było odmyć, tak się zabryzgała
atramentem. A co tam było szkody w po-
koju ojca, to straszne rzeczy: potrzebne
jakieś papiery zalały się atramentem, na

podłogę nawet pociekły czarne strumienie, a wiadomo, że atrament niełatwo się odmywa.

Raz znowu zobaczył Władzio u mamy na komodzie pudełko tekturowe, zamknięte i różowym sznureczkiem obwiązane. W pokoju nie było nikogo, więc chłopczyk nie namyślał się ani chwili, bo jakżeby to on wytrzymał, żeby tego pudełka nie wziąć w swoje ręce! Przysunął krzesło do komody, aby mu było wygodniej, wdrapał się, rozwiązał pudełko i zdjął nakrywkę. Ale nic nie zobaczył, tylko watę, i domyślił się odrazu, że tam coś było obwiniełego w tej wacie: pewnie coś bardzo ciekawego!

I Władzio zaczął śpiesznie grzebać w wacie, natrafił na coś twardego, a wtem usłyszał szmer jakiś w drugim pokoju, spojrzał, bo się nastraszył, żeby kto nie nadszedł i nie wyłajał go porządnie. Odwracając się, potracił niezgrabnie pudełko i sam się zachwiał, krzesło się przewróciło, on jak długi upadł na ziemię, a i pudełko spadło także z okropnym brzękiem. Wła-

dziowi nic się złego nie stało, tylko sobie trochę stłukł nos, ale też zasłużył na to, i nikt go nie żałował. Sam też nasz Wszystkorusz zapomniał o stłuczonym nosie, gdy zobaczył, jak wielką szkodę wyrządził mamie. W pudełku była prześliczna figurka porcelanowa chińska, którą wujaszek przywiózł dla mamy w upominku aż z samych Chin, bo wujaszek był żeglarzem i odbywał dalekie podróże po morzu.

Sądziecie może, że taki nieprzyjemny wypadek poprawił psotnika? Gdzie tam! płakał, przeproszał mamę bardzo szczerze, postanowił sobie nawet być rozsądniejszym, ale prędko zapomniał o wszystkim i broił dalej w najlepsze. Gdybyśmy chcieli wszystkie jego sprawki opisać, toby i miejsca w książeczce zabrakło.

Raz przyjechała w odwiedziny do rodziców Władzia ciocia, zabawiła parę tygodni, a gdy odjeżdżała, zaprosiła ich do siebie na wieś. Władzio od urodzenia mieszkał w Warszawie, jeździł czasem z mamą i ojcem do Wilanowa, do Skierniewic, ale nigdy dłużej na wsi nie bawił. Ucie-

szyl się tedy niezmiernie, gdy mama powiedziała, że pojedą do cici na kilka tygodni.

— Tylko pamiętaj, Władziu, żebyś był grzeczny i wstydu mi tam nie narobił! — mówiła mama.

— O, ja będę grzeczny — odpowiadał.

On zawsze obiecywał, że będzie grzeczny, tylko nigdy nie umiał dotrzymać słowa.

Ciocia mieszkała aż pod Lublinem, pojechali więc koleją do Lublina, a stamtąd powozem. Mała Andzia spała prawie przez całą drogę na ręku piastunki. Władzio był uszczęśliwiony, bo pierwszy raz w życiu taką daleką podróż odbywał. Gdy zajechali przed ganek, ciocia wyszła na ich spotkanie, potem poprowadziła zaraz kochanych swoich gości do jadalnego pokoju, stół już był nakryty, i wnet podano do stołu.

Ciocia była taka dobra, że o wszystkim pamiętała; stało więc przygotowane dla Andzi wysokie krzesło, piastunka usadowiła na niem dziewczynkę i sama za krzesłem stanęła, żeby jej dopilnować. Ale jakże się zdziwił nasz Władzio, gdy zoba-

czył, że za jego krzeselkiem stanęła także jakaś wiejska dziewczucha i wsparła się na poręczy, tak zupełnie, jakgdyby chciała go doglądać. Kręcił się niespokojnie, patrzył to na mamę, to na ciocię i spostrzegł, że obie uśmiechały się troszeczkę.

— Moja Jadwisiu — powiedziała wreszcie ciocia do mamy — będąc u was, widziałam, że nie trzymacie piastunki do Władzia, chociaż on bardzo jeszcze potrzebuje dozoru. Toż przy mnie zdarzyło mi się kilka wypadków: stłukł lampę, chcąc koniecznie palcami dotknąć klosza i przekonać się, czy kwiaty na nim są wypukłe. Przewrócił także ramkę z fotografią i szkło rozbił, a i niejedną jeszcze szkodę zrobił w domu. Niema na to innego sposobu, tylko trzeba, ażeby go ciągle piastunka pilnowała, tak samo, jak Andzi. Przyjęłam właśnie do tego Kasię na czas waszej tu bytności, bo u mnie wszędzie na stolikach i komodach stoją różne kosztowne rzeczy: nie chciałabym, żeby to wszystko potłukło się i zniszczyło; nie radabym także, aby Władziowi cò złego się stało u mnie,

a o nieszczęście nietrudno, gdy kto ma takie brzydkie przyzwyczajenie. Kasię już nauczyłam, jak ma Władzia pilnować: ona go na krok nie odstąpi, i będziemy spokojni.

Władzio poczerwieniał okropnie, łzy mu w oczach stanęły, wstrzymał się jednak i nic nie powiedział, bo sam czuł, że ciocia ma słuszość. Ale cóżto za wstyd okropny! Ta Kasia za nim w ślad będzie chodziła! Chłopiec, który umie czytać i pisać, duży, ośmioletni chłopiec z piastunką! To straszne rzeczy! Władzio chciałby był się schować pod ziemię. A tu mama najspokojniej odpowiedziała cioci, jakby w tem wszystkim nic, a nic dziwnego nie było:

— Dziękuję ci, droga Wandziu, za tę troskliwość o Władzia. To prawda, że piastunka bardzo mu się przyda, ale w mieście trudno trzymać dużo sług, a i Andzia potrzebuje osobnej piastunki.

Władziowi nic przy obiedzie nie smakowało, chociaż podawano różne wyborne potrawy, kurczęta z kompotem, leguminę z kremem, a potem przyniesiono przepyszne

owoce. Już teraz nie cieszył się wcale, że na wieś przyjechał, bo jaka to może być przyjemność z nieznośną piastunką, która krok w krok ma za nim chodzić?

Gdy wstano od obiadu, ciocia otworzyła drzwi do ogrodu. Cóżby to była za rozkosz pobiegać po takim ślicznym ogrodzie, kiedy starsi przechadzali się lub siedzieli w altance! Ale gdzie tylko biedny chłopiec się poruszył, wszędzie Kasia podążała za nim, a co chwila powtarzała:

— Ostrożnie, paniczku, żeby nie upaść i broń Boże sobie co złego nie zrobić!

Zawstydzony i zmartwiony Władzio wrócił do pokoju; chciał się troszkę rozejrzeć po domu. U cioci wszędzie było ślicznie; na stołach, na konsolkach stało mnóstwo osobliwości: posążki, wyobrażające znakomitych ludzi, i brązowe, i gipsowe, naczynka jakieś ze szkła i porcelany, piękne muszle. Bardzoby było przyjemnie oglądać to wszystko, gdyby nie ta nieznośna Kasia, powtarzająca co chwila:

— Niech ino paniczek nic nie rusza, aby nie rozbić i nie popsuć.

Tak się Władziowi uprzykrzyło, że nie patrzył już na nic, usiadł w kącie na krześle i milczał nadąsany, ze spuszczone w ziemię oczyma. A wtem weszła piastunka z Andzią, dziewczynka wyciągnęła paluszek do braciszka, wołając:

— Sitkolus! Sitkolus!

To już tak rozzłościło Władzia, że zerwał się i pięść pokazał małej siostrzyczce, zaraz jednak zawstydził się tego, bo cóż ona biedaczka była winna? Powtarzała słyszany często wyraz, nie rozumiejąc go wcale. Nasz Wszystkorusz nie wiedział sam, co z sobą zrobić, gdy usłyszał turkot, i po chwili do pokoju weszła ciocia z mamą i z obcą jakąś panią, która przyjechała w odwiedziny z sąsiedztwa i przywiozła z sobą dwóch synków. Jeden był w wieku Władzia, a drugi młodszy.

Ciocia własnych dzieci nie miała, więc umyślnie tę panią z dziećmi zaprosiła, ażeby Władzio miał towarzystwo. Chłopczyki zapoznali się bardzo prędko. Władek taki był rad gościom, że zapomniał o swajem zmartwieniu; ciocia pozwoliła dzieciom pójść

bawić się do ogrodu, a obca pani powiedziała do swoich synków:

— Tylko nie odbiegajcie daleko, żebyśmy was z okna widzieć mogła.

— Dobrze, mamuniu — odpowiedzieli chłopczyki i wyszli razem z Władziem do ogrodu, a za Władziem wysunęła się zaraz i Kasia z pokoju. Gdzie tylko chłopczyk się poruszył, ona tuż przy nim stawała i co chwila powtarzała swoje:

— Ostrożnie, paniczku, ostrożnie!

— Czego ta dziewczyna tu chce? — zapytał wreszcie Zygmunt, starszy z dwóch braci.

— Pilnuję tego paniczka; tak pani kazała — odpowiedziała Kasia z powagą.

— Co! ona ciebie pilnuje? Czyż ty małe dziecko jesteś? — rzekł, śmiejąc się, młodszy braciszek, Adaś.

Władziowi już cierpliwości zabrakło; cały zaperzony obrócił się do dziewczyny i zawołał z gniewem:

— Idź sobie, ty nieznośna, ja nie potrzebuję, żebyś mnie pilnowała!

— Pani tak kazała — odrzekła Kasia, nie ruszając się z miejsca — zgodziłam się przecież na piastunkę do panicza.

— Piastunkę!—zawołali obaj chłopczyki ze zdziwieniem — to ty masz jeszcze piastunkę? Cha, cha, cha!

Nie mógł biedny Władzio znieść takiego wstydu, uciekł pędem do pokoju; zaraz przy progu spotkał mamę, rzucił się w jej objęcia i szlochając cichuteńko, żeby go nikt nie posłyszał, mówił przerywanym głosem:

— Mamo, jedźmy do domu! Ciocia taka niedobra... ja tu nie wytrzymam z tą nieznosną Kasią... jedźmy do domu!

— Nie możemy tak prędko powracać do domu, moje dziecko—odrzekła matka.— Ciocia nie jest wcale niedobra, ale przeciwnie, uprzejmie nas bardzo przyjęła, przykroby jej było, gdybyśmy niewiadomo dlaczego odjeżdżali. A potem wiejskie powietrze potrzebne jest dla Andzi i dla ciebie; oboje tu zdrowsi będziecie.

— Ja nie chcę wiejskiego powietrza, ja chcę wracać do domu!... — powtarzał ciągle Władzio nieutulony.

— Domyślam się, dlaczego tak jesteś niezadowolony — mówiła mama — wstyd ci, że ciocia tej piastunce kazała cię pilnować; i mnie także wstyd za ciebie, ale sam powiedz, mój Władziu, czy nie zasłużyłeś na to? Ciocia widziała twoje sprawki w Warszawie; cóż dziwnego, że się obawiała, abyś jej dużo szkody w domu nie narobił? Sam powiedz, czy ciocia nie miała słuszności?

Władzio ciągle szlochał cichutko, a wtem ciocia nadeszła i odrazu domyśliła się wszystkiego.

— Moja Jadwisiu — rzekła do mamy — trzeba już na dziś uwolnić Władzia od piastunki. Ci dwaj chłopcy są bardzo rozsądni; sądzę, że i on będzie z nich brał przykład.

Potem ciocia stanęła w furtce ogrodu i zawołała:

— Kasiu! Idź do garderoby; zawołam cię, gdy będziesz potrzebna; tymczasem możesz pończochy cerować.

Władziowi lżej się zrobiło na sercu, gdy to posłyszał i otarł łzy, a ciocia odprowa-

działa go sama do ogrodu, do Zygmunia i Adasia, mama zaś została w pokoju z obcą panią. Zygmunt i Adaś byli bardzo dobrze wychowani, nie dokuczali Władziowi, nie wspominali wcale o piastunce, chociaż domyślali się potrosze, co to znaczyło. Chłopcy bawili się wybornie i dopiero późnym wieczorem odjechali.

— Cóż Władziu czy bardzo się na mnie gniewasz? — spytała ciocia, gdy sami zostali na ganku.

— Ja... ciociu... — i Władzio zająknął się, nie wiedząc, co powiedziedzieć.

— Mój drogi chłopczyku — rzekła ciocia, ściskając go czule — miałeś chwilę wielkiej przykrości; wierz mi, że i mnie także bardzo było przykro, ale obie z mamą postanowiłyśmy spróbować tego sposobu, aby cię od brzydkiego nałogu odzwycząić. Chorzy muszą brać nieraz gorzkie lekarstwa; wady są szkodliwsze od chorób i także często przykrych leków potrzebują. Nie wiem, czy już jesteś uleczony...

— O, ciociu, nigdy już, nigdy!... — wołał Władzio, składając ręce.

— Nie przyrzekaj—przerwała mama— obietnice nanic się nie przydadzą. Staraj się postępowaniem swoim nas przekonać, żeś się poprawił. Jutro Kasia nie przyjdzie już czuwać nad tobą; zobaczymy, czy potrafisz sprawować się rozsądnie bez piastunki.

— O, mamusi! — i Władzio nic nie mówił więcej, nie przyrzekał, ale postanowił szczerze i gorąco, że nie narazi się więcej na taki wstyd okropny.

Czy dotrzymał słowa?

Wiemy że Kasia została w garderobie przez cały czas pobytu naszych znajomych w wsi; widać, że Władzio nie potrzebował piastunki. Czy wytrwał w swoim postanowieniu po powrocie do Warszawy, o tem nie mamy pewnych wiadomości; słyszeliśmy tylko, że mała Andzia już teraz nigdy go nie nazywa „Sitkolus“, zapewne więc dziecina nie słyszy w domu tego brzydkiego przezwiska. To najlepszy znak, że Władzio już nie jest Wszystkoruszem.

SEN MISI.

Mała Misia pojechała z matką do Odesy. Odesa jest to miasto portowe nad morzem. Mama była trochę chora, i doktor kazał jej kąpać się w morzu, a i Misia także kąpała się z mamą, bo takie kąpiele są bardzo zdrowe. Dziewczynka chodziła też często z boną na brzeg morza, patrzyła na okręty, na łódki, pływające po wodzie, i wielką miała ochotę przejechać się na takiej łódce. Nieraz nawet wioślarze zapraszali ją, aby wsiadła, mówiąc, że niedrogo sobie każą za to zapłacić, ale bona za nic nie chciała na to pozwolić w nieobecność mamy, a mama była cierpiąca i nie mogła się łódką przejeżdzać. Misia dąsała się za to na bonę, a nawet, aż wstyd powiedzieć, nadąsała się troszkę i na

mamę, gdy ta powiedziała, że bez siebie nie pozwoli jej wsiadać do łódki, i że trzeba poczekać z tem na tatkę, który miał także niezadługo do Odesy przyjechać. Dnia pewnego upał był wielki; mama powiedziała, że wieczorem dopiero można będzie wyjść na przechadzkę, a tymczasem kazała Misi siedzieć w pokoju. Rolety spuszczone, bo słońce strasznie przypiekało i prawie ciemno było w pokoju.

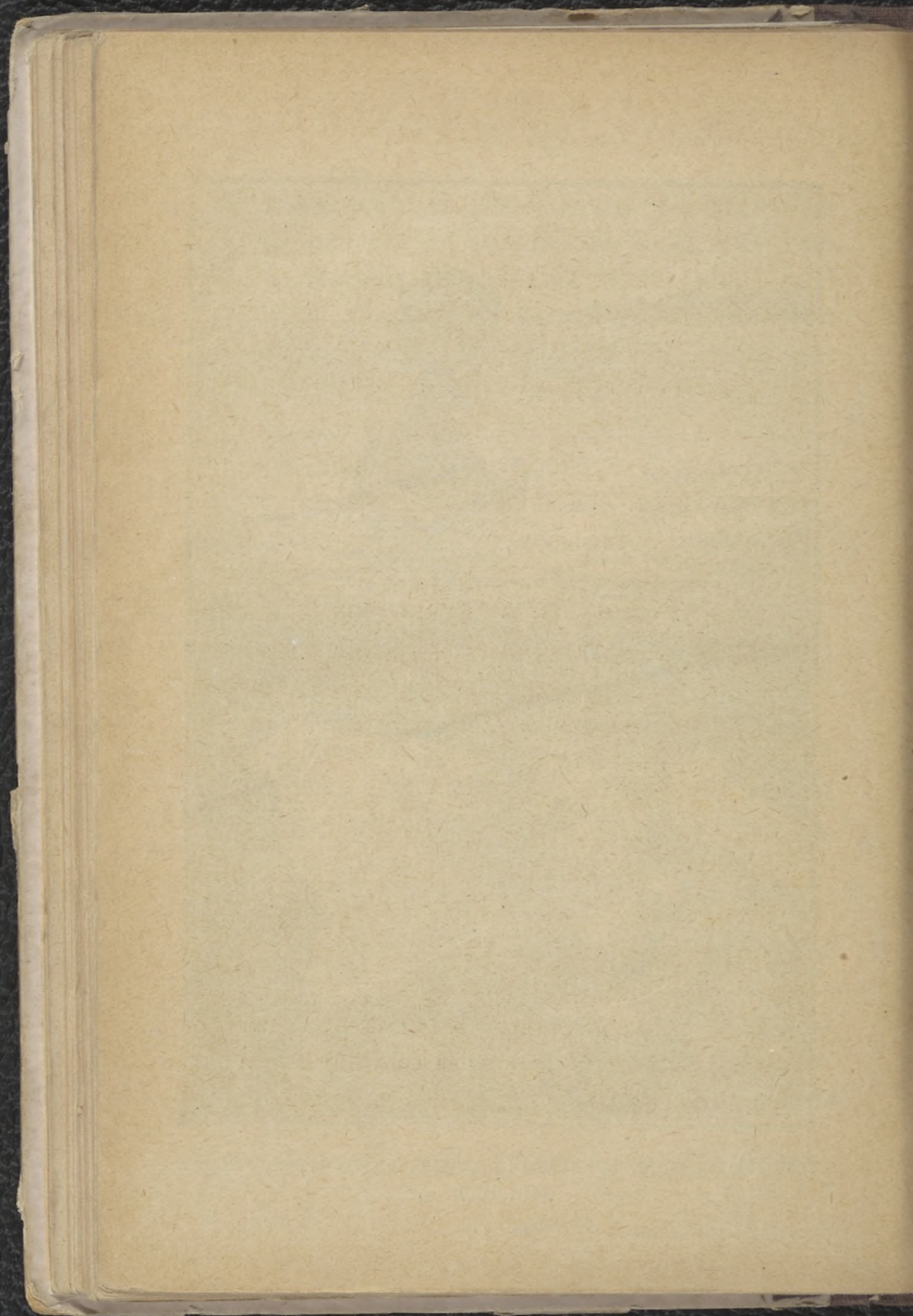
Misia usiadła na niskim stołeczku w kąci, i sen ją zmorzył taki, że co chwila oczki musiała przecierać, ażeby nie usnąć na dobre.

Zaczęła też sobie dziewczynka myśleć o tem, jakby to było przyjemnie płynąć łódką po morzu, i jaka to wielka szkoda, że mama na to pozwolić nie chce. I przyszła Misi do głowy myśl bardzo niemądra. Czemużbym ja nie miała wsiąść do łódki tak, aby mama nie wiedziała?

A pomyślawszy to, nasza Misia wstała cichuteńko, włożyła kapelusik, wzięła do ręki ładny parasolik, który jej mama kupi-



Rozłożyła parasolik nad głową i popłynęła chyżo na pełne morze.
(str. 103).



ła w Odesie, i wyszła niepostrzeżona z pokoju do sieni, a z sieni na ulicę. Pobieгла szybko aż na wybrzeże, patrzyła, czy nie ma łódki gdzie bliżutko i czy wiosłarz nie będzie jej zapraszał, jak to zwykle bywało. Ale rzecz dziwna, nie widać było nigdzie ani okrętów, ani łódek, ani wiosłarzy. Zato przy samym brzegu morskim stał niewielki cebrzyk drewniany, i Misia pomyślała sobie, że możnaby wybornie przejechać się w tym cebrzyku, tak zupełnie jak w czółenku. Jak pomyślała, tak i zrobiła: spuściła cebrzyk na wodę, a potem hop! skoczyła do niego, rozłożyła parasolik nad głową i popłynęła chyżo na pełne morze.

Malutki statek Misi pędził jak strzała po falach, dziewczynka wydziwić się temu nie mogła, bo nie miała wiosła, a żeglarze przecież zawsze wiosłami łodzie popychają! Ale pomyślała, że to pewnie parasolik pędzi czółenko, tak jak żagiel.

Już i brzeg zniknął z oczu Misi, widziała tylko rozległe morze dokoła, a wtedy troszeczkę jej się straszno zrobiło. Chcia-

łaby już wracać, ale nie wiedziała, jakim sposobem zwrócić czólenko. Aż tu wiatr nagle się zerwał, cebrzyk okropnie podskakiwał, to znowu zanurzał się głęboko. Misia zaczęła krzyczeć, bo wiedziała, jaka to straszna jest rzecz burza na morzu. A tu ona sama jedna płynie w czasie burzy.

Wicher zawył jeszcze okropniej, cebrzyk przechylił się! Misia już miała wpaść do wody, puściła z ręki parasolik i zawołała raz jeszcze żałośnie, choć wiedziała, że nikt jej usłyszeć nie może.

— Mamo! Mamuniu! Panno Emiljo! ratujcie!

— Cóż to się stało, moje dziecko? — odpowiedział niespodzianie głos mamy — czy ci się przyśniło coś strasnego?

I Misia otworzyła oczki, a tu mama stoi przy niej, trzyma ją za rączkę, ona zaś leży na podłodze, z główką opartą o stołeczek mamy.

O, co za radość! To wszystko jej się tylko przyśniło; ona spała w pokoju, nie płynęła wcale w cebrzyku!...

Misia opowiedziała mamie okropny swój sen i postanowiła czekać cierpliwie przyjazdu tatki i nie napierać się przejażdżki łódką po morzu.

NAUKI CZUBATKI.

Była śliczna kura biała z ogromnym czubem; nazywała się Czubatka. Przechadzała się raz Czubatka po dziedzińcu folwarcznym; co zobaczyła ziarnko na ziemi, to je dziobnęła i szła dalej. A wtem przebiegła obok niej młoda kokoszka, Krasnopiórka, tak nazwana, bo miała ładne piórka jaskrawe. Czubatka przystanęła, potrząsnęła swoim pysznym czubem i zawołała:

— Koko, kokoko, koko!

A Krasnopiórka zatrzymała się także i na odpowiedź wykrzyknęła:

— Koko, koko, kokokokoko!

To, co powiedziała Czubatka, miało znaczyć w języku kur:

— Co za rozstrzepaniec z ciebie, moja Krasnopiórko! Gdzież to biegłaś? Widziałam cię aż przy budzie Burka.

A Krasnopiórka odrzekła:

— Bo tam były okruszyny chleba, ciociu Czubatko, i pozbierałam je. Ale nieznośny ten Burek! Wyklóciłam się z nim porządnie.

— O cóżeś się z Burkiem kłóciła? To pocziwe psisko, nic nam złego nie robi.

— Ale śmieje się ze mnie ciągle, ciociu, a ja tego nie lubię. Ot i teraz zobaczył, że ja dziobię piasek i połykam razem z okruszynami chleba, więc nuż żartować ze mnie: „Ach, co to za niemądre stworzenia te kury, żeby jeść piasek! One nawet tego nie rozumieją, że w piasku żadnego pożywienia niema, więc pocóż jeść?”

— Cóżeś ty mu na to odpowiedziała?

— Powiedziałam, że on sam niemądry, bo skoro tak wszystkie kury robią, nawet i najstarsze, i najrozumniejsze, to musi to być na coś potrzebne.

— Widzisz, moja Krasnopiórko—rzekła poważnie Czubatka — zamiast się gniewać, lepiej było wytłumaczyć Burkowi, dlaczego to ptaki piasek i żwir przetykają z jedzeniem.

— A kiedy ja sama nie wiem dlaczego!

— Boś jeszcze młoda i niewiele umiesz. Na drugi raz, gdy się spotkasz z Burkiem, to mu powiedz: „Acan masz dobre zęby, wszystko niemi przegryzasz, nie dziw, że nie potrzebujesz jeść piasku. My ptaki, musimy połykać twarde ziarnka; cóżby to było, gdyby one tam w całości siedziały w żołądku? Ale umiemy sobie radzić; przełykamy zarazem ziarnka piasku i żwiru, i tam w naszym żołądku robi się prawie to samo, co we młynie: twarde te odrobiny kamyczków rozcierają pokarmy, jak kamień młyński zboże na mąkę przerabia“.

— O, jak to dobrze, że mi to ciocia opowiedziała!

— Kukuryku! kukuryku! — ozwał się w tej chwili chrapliwy głosik. Był to braciszek Krasnopiórki, młody kogucik Koralik.

— Jak się masz, Koraliku—rzekła Czubatka—jeszcze cię dziś nie widziałam, tak ciągle biegasz; co to też z ciebie za latawiec!

— Ach, ciociu Czubatko — mówił Koralik — dziś miałem aż dwa pojedynki z temi kogucikami z drugiego podwórza.

To dopiero tchórze, hołota! Jeden naprzykład, niech ciocia sobie wyobrazi, gdy go porządnie dziobnął parę razy, zaczął uciekać, schował się w chwasty pod płotem; ja go szukam na wszystkie strony, a on dawaj kwokać, jak kura, myślał, że mnie zwiedzie!

— Jaki to też złośnik z ciebie, mój Koraliku! — odezwala się Krasnopiórka. — Poco ty się tak ustawicznie bijesz z innymi kogucikami? Co one tobie złego robią? Ten Złotaszek z drugiego podwórka bardzo jest miły i dobrze wychowany.

— Ty się znasz! Ach, te kokoszki takie są nedorzeczne! — zakrzyknął Koralik — już ja mu dam, twemu Złotaszкови!

— Zostawże to — mówiła Czubatka. — Dobrze bardzo, że jesteś odważny i nie uchylasz się od pojedynków, nie trzeba jednak przebierać miary. A jak też ci się głos wyrabia! Nieźle już piejesz; niezadługo będzie z ciebie wcale czupurny kogucik.

— Alboż to ja i dziś nie czupurny? Toż nie jestem już dzieckiem: sześć miesięcy kończę!

— Tak samo, jak i ja—dodała Krasnopiórka.

— No, zapewne — mówiła Czubatka — powinniście już mieć rozum, a tymczasem zawsze wam jeszcze obojgu pstro w głowie.

— A ciocia, to ciągle tylko gderze — rzekł Koralik — dziwo, że nie jesteśmy tacy stateczni i poważni, jak ciocia, co już ma pewnie z dziesięć lat!

— Co, co! — przerwała Czubatka z oburzeniem — ten smarkacz ma mnie za jakąś zgrzybiałą kwokę. Dziesięć lat! Ja jeszcze przecież i ośmiu nie mam.

— Niechże się ciocia nie gniewa — odezwała się Krasnopiórka — ja sama myślałam, że ciocia jest już bardzo sędziwa. Pamięta ciocia, jak to raz gospodyni zabrała parę kur i kilkanaścioro kurczątko do kuchni? Ja się okropnie przestraszyłam, bo mi się zdawało, że i ciocia na tę straszną rzeź poszła. Ale mnie ta szara kwoczka uspokoila, powiedziała, że ciocia już za stara na pieczyste, i że chyba ciocię kiedy

ugotują na rosół, jak kto zachoruje we dworze.

— Niech im tam wszystkim Pan Bóg daje zdrowie! — szepnęła Czubatka z westchnieniem.

— Oj, żeby nie ta kuchnia, toby dobrze było na świecie! — rzekł Koralik. — Za mną już raz kuchcik gonił, ach, jak gonił! Ale schowałem się za płotem, a on złapał jakąś kokoszkę niebogę. Taki byłem przestraszony! Jeszcze mnie jakiś wróbelek wyśmiał: „A to czemuż nie umiesz latać? — mówił — co to z was za ptaki, że latać wysoko nie umiecie. Mnieby tam żaden kuchcik nie dogonił!“ Bo też doprawdy, ciciu Czubatko, nieraz sobie myślałem, czemu to my latać nie umiemy, jak inne ptaki, chociaż mamy skrzydła?

— Ach, prawda, czemu? — powtórzyła Krasnopiórka.

— Co też wam w głowie, dzieci — odrzekła Czubatka, podnosząc głowę do góry i potrząsając wspaniałym czubem — chciałybyście być podobne do wszystkich

innych ptaków. Prawda, że my, kury, nie latały tak wprawnie, jak wróble, jaskółki, pliszki; ale jakże my zato się ogromnie różniliśmy od tego ptasiego pospólstwa, od tego gminu! Gdybyś wiedział, Koraliku, w jakiej nędzy te biedne ich pisklęta na świat przychodzą, tobyś pewnie nie chciał być do nich podobny. Krasnopiórka, która ma takie litościwe serduszko, przestraszyłaby się, gdyby zajrzała do gniazda wróblicy lub sikorki.

— Jakże one wyglądają, te nieszczęśliwe pisklęta, ciciu Czubatko?

— Wyobraź sobie, że biedactwa wykluwają się z jajek nagie, bez piórek, ślepe, w niczem sobie poradzić nie umieją. Dlatego to rodzice muszą dla nich takie wygodne gniazdeczka budować; a ile te mateczki mają z nimi kłopotu, nim je trochę odkarmią! Pamiętajcie, jak wy oboje z całym rodzeństwem wykuliście się z jaj? Takie z was były żwawe kurczątko; a oczęta wasze błyszczały, jak pacioreczki. Biegałyście zaraz za matką, zbierały różne okruszyny, aż miło było patrzeć.

— Biedne te pisklęta! — mówiła Krasnopiórka.

— Czemu biedne? — zawołał Koralik. — Wyrastają przecież z tej ślepoty i opierają się prędko, a potem fruują sobie tak prześlicznie w powietrzu i kuchcików się nie boją.

— Alboż ty myślisz, że w powietrzu niema także różnych rabusiów, gorszych jeszcze od kuchcików? A jastrzębie, kruki i inne jeszcze drapieżniki? — rzekła Czubatka.

— Złotaszek! Złotaszek! — wykrzyknął Koralik — ja mu tu dam! Nie schowa się teraz przede mną — i pomknął, jak strzała, za drugim młodym kogucikiem, a Krasnopiórka pobiegła przypatrzeć się bitwie.

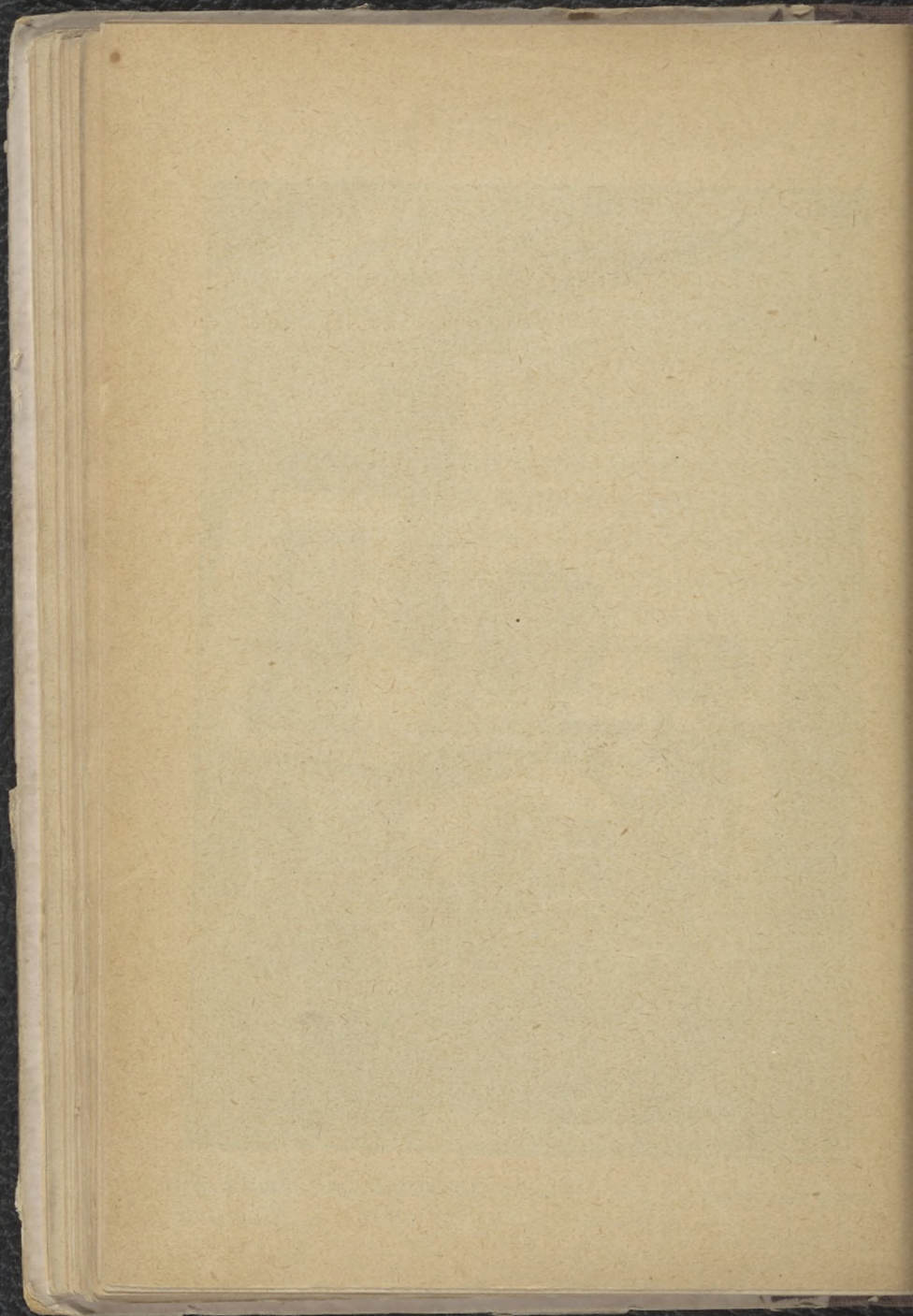
Czubatka kiwnęła czubem w milczeniu i dalej przechadzała się poważnie po podwórku.

K A S I A.

Dziewięcioletnia Kasia mieszka na wsi, jest córką ubogiej wyrobnicy, wdowy Wincentowej. Inne dziewczynki w wieku Kasi, w dostatkach wychowane, zwykle po odrobieniu krótkich lekcyj, bawią się przez dzień cały lalkami; ona, biedaczka, lalki nigdy w życiu nie miała, może nie widziała nawet; na zabawę bardzo mało czasu zostaje jej od roboty. A ta robota Kasi to wcale nie jest lekcja z mamą lub nauczycielką. Mama jej od samego rana idzie na zarobek, bo inaczej nie byłoby co jeść w domu. Kasia musi przez ten czas dopilnować małego braciszka, rozpaścić ogień i jedzenie ugotować. Dla was, szczęśliwe dziewczątka, które to czytacie, udawanie mateczek przy lalkach jest zabawą; Kasia nie udaje, lecz naprawdę zastępuje matecz-



Kasia musi przez ten czas dopilnować małego braciszka, rozpalić ogień i jedzenie ugotować. (str. 114).



kę braciszкови. Patrzcie, jak troskliwie go karmi; ledwo może utrzymać na kolanach tłustego, ciężkiego chłopca. Burek także radby pokosztować dobrej poleweczki, ale czeka cierpliwie, nie dokucza Kasi, nie przeszkadza; widocznie rozumie, że małą gosposię szanować trzeba.

STRASZNA PRZYGODA WĄSATKA I PACIORECZKI.

Była sobie myszka, miała dużo dzieci, aż sześcioro, ale różne je spotykały nieszczęścia. Jedno porwała sowa o zmroku, drugie schrupał drapieżny kot czarny, a dwoje zginęło razem: zabiła je spadająca zwysoka kłoda drewniana; pozostało więc tylko dwoje przy życiu. Myszka ta mieszkała przez całe lato w stodole, miała tam dosyć żywności dla dźiatwy i siebie, bo do stodoły zwożono rozmaite zboże.

Lecz przysła jesień, zimno; myszka pomyślała sobie, że lepiej będzie przenieść się na jakieś wygodniejsze mieszkanie. Przywołała dzieci, aby im o tem oznajmić. Synek nazywał się Wąsatek, a córka Pacioreczka, bo miała śliczne oczka, błyszczące, jak paciorki. Były to już myszki prawie

dorośle i dosyć roztropne, tylko niedoświadczone jeszcze, bo mało znały świat, siedząc ciągle w owej stodole.

— Moje dzieci — rzekła myszka-mateczka — dziś przeniesiemy się na nowe mieszkanie do dworu.

— O, co za szczęście — zawołała Paciureczka i z wielkiej radości przewróciła koziółka, a Wąsatek, nie taki żywy jak siostrzyczka, kręcił tylko wąsikami i ogonkiem: wiadomość ta bardzo go ucieszyła.

— Nie wiem, dlaczego ma to być znów tak wielkie szczęście — rzekła stara myszka. — Ja już mieszkałam we dworze zeszłej zimy; nic tam nadzwyczajnego niema, a pełno niebezpieczeństw. Dlatego też wyniosłam się do stodoły; niestety! I tu nie ustrzegłam się srogich nieszczęść...—i biedna mateczka otarła ogonkiem parę łez, bo przypomniała sobie utracone dzieci.

— Ej! co tam myśleć o niebezpieczeństwach, mamusiu—rzekła Paciureczka— a raz przecież zobaczymy coś nowego.

— To prawda, że tu strasznie nudno w tej stodole—odezwał się Wąsatek.— Ja

już nieraz zamyslałem puścić się w świat, tylko mi żal było rzucać mamusię.

— We dworze będziesz miał co widzieć — mówiła myszka - mateczka — byleś był ostrożny. Otóż poto właśnie was przywołałam. Ja dobrze znam świat, mieszkałam już w różnych miejscach, mam dużo doświadczenia; słuchajcie tylko słów moich uważnie, nie zapominajcie o przestrodach, a wielu strasznych niebezpieczeństw potraficie uniknąć.

— Mamusiu, ja się boję, nie idźmy chyba do tego dworu, jeżeli tam jakieś okropne są rzeczy — mówiła Pacioreczka, przytulając się do matki.

— Ach! co to za tchórz z tej Pacioreczki — wołał Wąsatek — a więc zostań ty sobie sama w stodole!

— Nie sprzecajcie się, dzieci, niema o co — rzekła matka — do dworu przenieść się musimy, bo tu zginiemy z zimna i głodu. Gospodarz sprzedał wszystko zboże i jeszcze kazał powymiatać stodołę jak najstaranniej, niewiadomo poco, byle biedne myszy nie miały się czem pożywić.

Oj, ci ludzie, to najstraszniejsi nasi wrogowie! Oni to trzymają i hodują koty, umyślnie poto tylko, ażeby nas dusiły, bo koty im zresztą nanic nie są potrzebne. Ale nie na tem koniec: ci niegodziwi ludzie obmyślają jeszcze różne sposoby, aby nas zabijać i tępić. Starsze myszy opowiadają o tem rzeczy przerażające. Nieraz naprzykład leży sobie gdzieś przepyszny kawałeczek słoninki, pachnący, smakowity; biedna myszka skrada się, zaczyna chciwie zajadać, aż tu paf! dzieje się coś okropnego, słycać trzask, łoskot niepojęty, jakaś krata zapada, i myszka jest uwięziona.

— I cóż dalej, mamusiu? — pytała Pacioreczka, cała drżąca.

— Co dalej? — powtórzyła stara myszka ze smutkiem — przychodzą ludzie i bez litości mordują nieszczęśliwych jeńców. Otóż pamiętajcie o tem, moje dzieci: bądźcie ostrożne! Słoninka jest to rzecz dobra i zdrowa, możecie ją zajadać dowoli, pamiętajcie tylko o tem, że to wszystko, co nam przychodzi bez żadnego trudu, rzadko kiedy prawdziwą korzyść przynosi, częściej

daleko szkodę. Jeżeli wam się uda wleźć po długich mozolach do szafy spiżarnianej, lub wdrapać się po ścianie aż na półkę, gdzie chowają słoninkę, wtenczas spokojnie możecie się pożywić. Radzę wam jednak nie łakomić się na żaden przysmak, jeżeli będzie gdzieś leżał tuż pod nosem, i zobaczycie, że można się do niego dostać bez najmniejszej przeszkody i bez trudu. Uważajcie dobrze, czy niema w tem jakiej zdrady!

— Już niech mateczka się nie boi, nie tak to łatwo mię w pole wyprowadzić! — odezwał się Wąsatek.

— Nie trzeba być zarozumiałym, mój synu, a o radach starszych zawsze pamiętać — rzekła matka.

— Ach, matuniu, nigdy jeszcze w życiu słoninki nie jadłam, a to musi być takie wyborne! Tyle razy o tej słonince słyszałam od różnych myszek — mówiła Pacioreczka, oblizując się.

I przeniosły się myszki do dworu, znalazły sobie bardzo wygodne mieszkanie w spiżarni, w dziurce pod podłogą. Zaraz

pierwszego dnia Pacioreczka dobrała się do słoninki, a napracowała się niemało, nim się po ścianie wygramoliła wysoko, nim potem wyszukała szparkę w szafie, którą się do środka wcisnęła. Ale jak jej też smakował upragniony przysmaczek!

Na drugi dzień oboje z Wąsatkiem pobiegli żwawo wzdłuż ściany i natrafili na jakieś drzwi otwarte, przeskoczyli przez próg i dostali się do pustego, dużego pokoju. Był to skład różnych gratów. A wtem posłyszeli głos mysi i obaczyli jakąś obcą myszkę, która na nich wołała:

— Chodźcie-no, chodźcie! Zapraszam was na ucztę. Jest tu ogromny kawał słoniny, a taki wyborny! Najemy się wszyscy i dla innych myszek zostanie.

Myszka, która to mówiła, siedziała sobie w maleńkim domeczku drucianym i zjadała słoninę.

— Ale jakżeś ty tam weszła?—spytała Pacioreczka.

— Nic łatwiejszego—odrzekła tamta:—ugóry jest wejście bardzo wygodne. Przecież choć raz ci niegodziwi ludzie nie

schowali słoniny przed nami i można się do niej dostać bez żadnego trudu!

Wąsatek natychmiast zaczął się drapać po drucikach do otworu. Pacioreczka chciała go wstrzymać, mówiąc:

— Pamiętasz, Wąsatku, co mówiła mateczka, że to wszystko, co przychodzi bez trudu jest niebezpieczne?

— Cha, cha, cha! — zaśmiała się owa obca myszka — to wy jeszcze takie małe dzieci jesteście, że uważacie na to, co mówi mateczka? Boicie się nawet słoninki dotknąć bez pozwolenia?

Wąsatek zawstydzony i chcąc pokazać, że nie jest wcale małym dzieckiem, wskoczył żwawo do domku i zaczął ze smakiem zajadać słoninę. Pacioreczka jeszcze się wahała, ale słoninka pachniała tak ślicznie... więc i ona poszła za przykładem braciszka. Biedna myszka-mateczka darmo dnia tego wyglądała powrotu Wąsatka i Pacioreczki. Nieroztropne myszki zginęły marnie, bo zapomniały o radach i naukach dobrej matki.

GRZYBY.

Józio był dobrym i grzecznym chłopczykiem, ale zdarzało mu się, iż czasem nie słuchał mamy wtenczas, gdy jej nie było w pokoju, gdy widzieć tego nie mogła.

— Mama się nie dowie i gniewać się nie będzie — mówił sobie nierozsądny chłopczyzna, bo myślał, że to dlatego tylko mamy słuchać potrzeba, aby się nie gniewała. Nie wiedział o tem, że rodzice takich tylko rzeczy zabraniają dzieciom, które im mogą zaszkodzić.

Mama nieraz powtarzała Józiovi, żeby nigdy nic nie jadł, nie zapytawszy jej, czy można, a Józio był troszkę łakomy. Czasem wbiegał do kuchni, chwycił różne rzeczy i kosztował, a ile razy mama to zobaczyła, zawsze go łajała.

Raz mama wyszła z domu, bona czytała ze starszą siostrzyczką Józją, a on bawił się w drugim pokoju. Wtem doleciał go jakiś przyjemny zapaszek z kuchni; wstał cichutko, tak, że bona tego nie spostrzegła, i poszedł do kuchni, chociaż mama zabraniała tego, bo w kuchni bardzo łatwo może się dziecku zdarzyć jaki wypadek.

Kucharka Małgorzata wykladała właśnie z rondla na miskę jakąś potrawę, która taki miała zapach.

— Co to takiego, Małgorzato? — zapytał Józio.

— To grzyby, niech Józio sobie idzie, bo pani nie pozwala do kuchni chodzić.

— Czy to na obiad te grzyby? — zapytał Józio i ani myślał odchodzić.

— Nie, to ja dla siebie zgotowałam: do stołu będzie inna jarzyna — rzekła kucharka.

— To szkoda — powiedział Józio — bo to musi być doskonałe. Daj mi pokosztować, Małgorzato.

— A pójdzie sobie Józio, jak pokosztuje? — spytała kucharka, bo chciała pozbyć się go jak najprędzej.

— Pójdę zaraz, pójdę, tylko daj mi troszeczkę pokosztować — mówił chłopczyk, oblizując się i połykając ślinkę.

Nierozsądna kucharka pozwoliła mu zjeść parę grzybów, bo także pomyślała sobie:

— Ej, cóż tam! Pani niema w domu, to się i nie dowie...

Józio odszedł nareszcie i znów zaczął się bawić, bona nic nie spostrzegła; mama nadeszła wkrótce i kazała obiad podawać. Przy obiedzie mama spostrzegła, że Józio nic nie je, a wkońcu chłopczyk zaczął się skarżyć, że go strasznie mdli, musiał wstać od stołu i dostał silnych wymiotów.

Mama się nastraszyła, zapytała zaraz, czy nie zjadł czego niedobrego. Na szczęście Józio nie umiał kłamać, więc zaraz się przyznał, że jadł grzyby w kuchni. Dopieroż mama strwożyła się jeszcze więcej, bo grzyby bywają czasem trujące! Poszła zaraz do kuchni i zastała Małgorzatę także

okropnie chorą. Posłano natychmiast po doktora, i Józio, i Małgorzata musieli brać bardzo niedobre lekarstwa i długo chorowali, a doktor powiedział, że to wielka łaska Boża, że się na śmierć nie struli brzydkimi grzybami. Szybki ratunek ich uleczył. Mama chciała odprawić Małgorzatę, gdy wyzdrowiała, ale wkońcu dała się przeprosić, bo Józio prosił serdecznie o przebaczenie dla niej, mówiąc, że on sam tu był winien, bo się naprzykrzał Małgorzacie, a ona pozbyć się go nie mogła.

Józio od tej pory był już zawsze posłuszny, nawet i wtenczas, gdy mama tego nie widziała, a łakomstwa wystrzegął się bardzo i nigdy nic do ust nie wziął, póki mama nie powiedziała, czy można.

PRZESTRACH CIOCI WANDZI.

— Moja ciociu, czy są naprawdę na świecie takie teatrzyki, gdzie zamiast aktorów występują rozmaite zwierzęta, małpki, pieski, koniki małe? Ignas mówi, że jego brat stryjeczny, który jeździł z rodzicami zagranicę, widział tam teatrzyk taki i ciekawe bardzo rzeczy o nim opowiadał.

Tak mówiła mała Halinka do swojej cioci, a ta dziwnie się na to uśmiechnęła i rzekła:

— Ach! przypomniałaś mi śmieszne zdarzenie z mojego dzieciństwa. Przyjeżdżał tu niegdyś i do Warszawy Niemiec z teatrzykiem podobnym; jeszcze ja wtenczas byłam małą Wandzią, taką prawie, jak ty dziś, i nie o wiele rozsądniejszą.

— I widziała cioteczka ten teatrzyk? I coś śmiesznego zdarzyło się cioci?

O! niechże cioteczka kochana to wszystko opowie!

Ciocia Wandzia nigdy swojej siostrzenicze nie odmawiała, zaraz też usiadła obok niej i mówiła w te słowa:

— Pewnej niedzieli latem, w prześliczną pogodę, wracając z kościoła, poszłam z rodzicami na przechadzkę do ogrodu Saskiego, a tam spotkaliśmy znajomych, którzy rodziców zaprosili do siebie. Ci państwo nie mieli dzieci, więc ja się tam zawsze trochę nudziłam, i mama pozwoliła mi pójść do mojej koleżanki, mieszkającej blisko przy tej samej ulicy. Nie miałam wprawdzie zwyczaju sama po mieście chodzić, ale to było przecież tak niedaleko; wiedziałam, że Lunię w domu zastanę, bo nie wychodziła jeszcze po jakiejś chorobie. Mama powiedziała mi tylko: „Idź-że, Wandziu, nie zatrzymując się i nie oglądając, a kiedy wejdiesz na schody, pociągnij mocno za dzwonek, żeby usłyszeli“. Poszłam więc z wielką radością, że to ja tak zupełnie jak osoba dorosła, sama sobie wędruję, i już dochodziłam do kamienicy.

gdzie mieszkała moja przyjaciółka, gdy nagle usłyszałam za sobą jakiś dziwny pisk. Nie był to głos psa ani kota, coś nieznanego, czego nie słyszałam nigdy, mimowoli obejrzałam się, choć mama mówiła: „Nie oglądaj się!“ Ale to był przecież wypadek nieprzewidziany, i mama byłaby się obejrzała z pewnością na mojem miejscu. Ach, moja Halinko, co ja też zobaczyłam!

— Cóż cioteczka zobaczyła? — pytała ciekawie Halinka.

— Wyobraź sobie figurkę maleńką, nie większą od lalki, ustrojoną paradnie, jak piękna pani, z parasolikiem w ręczce, w kapelusiku, ale z pod tego kapelusika wyglądała mordeczka ciemna, obrośła, wykrzywająca się dziwacznie. Dziś widok ten rozśmieszyłby mnie tylko, lecz wtenczas byłam jeszcze dosyć niemądra, więc najokropniej się przeraziłam. Czego? Sama nie wiedziałam; przecież takie malutkie stworzenie nie mogło mi nic złego zrobić, nie wyglądało też na to wcale. A jednak trwoga nieopisana mię ogarnęła.

— Ani troszkę się cioci nie dziwię — rzekła Halinka — jakże tu było się nie przestraszyć? Jabym na miejscu cioci krzyczała wniebogłosy.

— Otóż widzisz, musiałam być cokolwiek od ciebie rozsądniejsza, bo nie krzyknęłam, chociaż drżałam cała, tylko pomknęłam jak sarna w bramę znanej kamienicy, potem na schody i zaczęłam dzwonić, jak szalona. Wszyscy znów w mieszkaniu Luni się wystraszyli; myśleli, że pożar, lub inne podobne nieszczęście się stało. Gdy wreszcie wbiegłam do pokoju, rzucając ciągle błędniemi oczyma dokoła, czy nie goni za mną to osobliwe straszdyło, gdy ochłonęłam i zdołałam opowiedzieć, co mi się przytrafiło, matka Luni wybuchnęła śmiechem.

— To niezawodnie wyrwała się aktorka z teatrzyku Bröckmann'a! — zawołała. — Czyż nie słyszałaś o tym teatrze, w którym uczone zwierzęta występują? To bardzo blisko od nas; teraz właśnie musiało się odbywać przedstawienie, bo w niedzielę po dwa zwykle bywa, jedno w południe, drugie przed wieczorem.

Teraz mi się wszystko rozjaśniło. Tak, to była małpka, nic innego! Nieraz przecież małpki widziałam, nietylko na rysunkach, lecz żywe, przez kataryniarzy wzdzone. I czegoż ja się tak przelekłam? Wstyd mi się zrobiło. Później dopiero, starszą już będąc, zrozumiałam, że ludzie zwykle przestraszają się takich rzeczy, które są dla nich nieznanne, których sobie nie umieją wytłumaczyć. Ja też tej małpki dlatego się zlekłam, że narazie nie wiedziałam, co to jest takiego, choć wcale nie wyglądała przerażająco; przekonałam się o tem później, gdy poszłam na przedstawienie do nowego teatrzyku.

— Więc widziała ciocia te przedstawienia? — zawołała Halinka. — Jakże to tam było? Niech ciotunieczka kochana opowie!

— Niebardzo ja to dokładnie pamiętam — odrzekła ciocia Wandzia z uśmiechem — bo od tej pory widziałam tyle rzeczy bardziej zajmujących, ale co sobie przypomnę, to ci opowiem. Miał ten Bröckmann naprawdę śliczne zwierzęta, zwłaszcza kucyki malutkie, jak roczne źrebaki, nie-

zmiernie kształtne, wyczesane, wymuskane, jak lalki; potem gromadkę przepysznych pudłów białych, także utrzymanych nadzwyczaj starannie, wreszcie i małpki różnych rozmiarów, większe, mniejsze. Z tych to właśnie jedna tak mię okropnie przestraszyła.

— Ale cóż one przedstawiały, te zwierzątka, moja ciociu?

— Poczekajże, zaraz powiem. Małpeczki, cudacznie postrojone, jeździły na małych konikach, różne figle wyrabiając, to znów, poprzebierane za panie siedziały, u stołu, zjadały przysmaki, a inne w ubiorach lokajskich im usługiwały. Najwięcej jednak mi się podobały roztropne i zgrabne pudle. Te także jeździły na konikach, a jakie sztuki pokazywały! Wyobraź sobie dużą beczułkę, wyklejoną, z cienkiego papieru. Człowiek, stojący na scenie, chwytą taką beczułkę i wyrzuca ją w powietrze w chwili, gdy pędzi właśnie kawalkada. Piesek podskakuje gwałtownie, przebija nawylot beczkę, wyskakuje drugą stroną i spada znowu na swego wierzchowca. I tak raz po raz kilka beczek przebija wlot.

— O, moja ciociu, jakie to musiało być zabawne!

— Bardzo mi się to rzeczywiście zabawnem wydawało, ale jeszcze więcej mi się podobało przedstawienie pod tytułem: „Wzięcie Konstantyny“. Konstantyna jest to miasto w Algierze, afrykańskiej posiadłości Francuzów; oni to miasto zdobywali od Arabów, czy Beduinów. Otóż wyobraź sobie, urządzono na scenie coś nakształt twierdzy z tektury, i nagle wybiegła cała gromada pudłów; wszystkie, skomląc i szcze-kając zawzięcie, wskakiwały na te fortyfikacje, które padały i waliły się z największą łatwością, bo tak umyślnie były zrobione. A gdy już wszystko runęło, z boku wyjeżdżała na ślicznym kucyku małpeczka, ubrana w biały burnus z kapturem, jak Beduin i, zatrzymawszy się przy tych zwaliskach, spoglądała na nie z taką minką, jakby wielce ubolewała nad tem nieszczęściem.

— Ach, ciociu! Jaka to szkoda, że ja tam nie byłam z ciocią! — rzekła Halinka.

— Bardzo śmieszna była także pani dworska z czasów dawniejszych — mówiła dalej ciocia. — Panią przedstawiał przepyszny pudel, przybrany w suknie z jaskrawego adamaszku w kwiaty, z długim ogonem, w płaszczyk purpurowy, i wysoki, osobliwy strój głowy, z pod którego wymykały się białe kudły, zupełnie jak włosy mocno upudrowane. Za nim postępowała malutka, jak laleczka, małpka, przebrana w karmazynową liberję lokajską; jedną łapką trzymała ogon pani, a w drugiej niosła małą, zapaloną latareczkę. Bo niby to ta pani szła tak w nocy przez ulicę. Przedstawienie to, na prośbę obecnych dzieci, musiano zawsze po kilka razy powtarzać. A teraz dość już o tym niemądrym teatryku, i tak zanadto się mówiło o podobnych niedorzecznościach.

— Ach! nie zanadto, ciociu—upewniała Halinka—nie zanadto, bo to takie zabawne!

CO WĘGIELEK OPOWIADAŁ ZYGMUSIOWI.

Był wieczór zimowy, suty ogień palił się na kominku, babcia odeszła wcześniej do swego pokoju. Zygmuśowi jeszcze się spać nie chciało, więc wdrapał się na duży fotel babuni, wyciągnął się wygodnie i wpatrywał się w ogień.

Tak ślicznie wyglądały ogromne bryły węgla; czerwone, błyszczące, aż oczki bolały patrzeć na nie. Iskierki podskakiwały, pryskały, a płomień buchał dogóry. Zygmuś patrzył i co chwila mrużył oczęta; w pokoju było cicho, więc chłopczyna zaczął drzemać i jakby przez sen powtarzał:

— Węgielku, węgielku, skąd ty się tu wzięłeś? Gdzie ty byłeś, nim ciebie Jano-

wa na kominku położyła i rozpałała? Węgielku, węgielku, opowiedz, gdzie ty byłeś, co robiłeś?

I zamknął zupełnie oczka, aż tu przy samem uszku słyszy Zygmus głośnik cichutki. Głośnik ten mówi:

— Ja tu fruвам koło ciebie, mój chłopczyku, ja, węgielek, i wielką mam ochotę z tobą pogawędzić.

— Alboż ty umiesz fruwać, węgielku? — zapytał Zygmus zdziwiony.

— Ba! Sam nie umiem i nawet ruszyć się nie mogę — odpowiedział węgielek — ale tam w ogniu mój przyjaciel, który się *tlen* nazywa, pożyczył mi swoich skrzydełek, bo on sobie zawsze buja w powietrzu. Mnóstwo tam już moich braciszków, drobniuteńkich węgielków, wyleciało kominem na tych skrzydełkach pożyczanych, a ja słyszałem, że mnie wołasz, i zaraz do ciebie przyfrunąłem.

— Chciałbym ciebie zobaczyć, mój węgielku — rzekł Zygmus — ale nie mogę oczek otworzyć, bo tak mi się skleiły...

— Nie zobaczyłbyś mnie, gdybyś nawet i oczka szeroko otworzył — odparł węgielek — bo ja jestem teraz niewidzialny. Mój przyjaciel *tlen* pochwycił mnie w swoje ramiona, skrzydełkami osłonił i stałem się niewidzialny, tak samo, jak i on. Ciekaw jesteś, mój chłopczyku, skąd ja się tu wzięłem, gdzie byłem, co robiłem? Oho, gdybym chciał ci to wszystko opowiedzieć, tobym chyba całą noc prawić musiał i jeszczebym nie powiedział wszystkiego. Bo ja strasznie dawno żyję na świecie, tak dawno, że ty tego wyobrazić sobie nie potrafisz.

— Ze sto lat? — zapytał Zygmus.

— Cha, cha, cha! — zaśmiał się węgielek — zabawny ty jesteś, mój chłopczku. Sto lat — to dla mnie tylko tyle, co dla ciebie chwilka; ja mojego życia nie obliczam na setki lat, ale na tysiące, a i tych tysięcy zliczyć trudno. Kiedym się urodził, wyglądałem całkiem inaczej; nie byłem czarny, tylko zielony, świeżuteńki, mięciutki, bo ja wyszedłem z ziemi malutkim kiełkiem, a potem wyrosłem

w drzewko; wietrzyk rozwiewał moje liścieczki, deszczyk je skrapiał, i z tego małego krzaczka zrobiło się ogromne drzewo; teraz już takich niema na świecie. A wszędzie dokoła mnie rośnie mnóstwo drzew podobnych, u stóp naszych płynął bystry strumień, przybywał on zdaleka, i ja go się spytałem kiedyś, co on tam widział na szerokim świecie. Strumyczek mi powiedział, że tam dalej wszędzie drzewa rosną, a las jest chyba bez końca.

— Ej, to być nie może, mój węgielku — przerwał Zygmus — choćby największy las, to przecież koniec mieć musi. Ten strumyczek plótł ni w pięć, ni w dziesięć.

— I ja tak myślę, mój chłopczyku, ale zawsze powiem ci, że takich lasów już pewnie nigdzie niema na ziemi, jak za czasów mojej młodości. Ach! dobrze nam tam było, dobrze, aż przyszedł koniec i na nas...

— Cóż się stało? — zapytał Zygmus — czy przyszli drwale i wyrabali was może?

— Ej, gdzie tam, wtenczas jeszcze drwali nie było; mnie się zdaje, że i ludzi nie

było na świecie, bom ich nigdy nie widział. W naszym lesie drzewa ginęły same ze starości, pnie obalały się na ziemię, a że gęsto rosły, więc całe góry tych pni gromadziły się jedne na drugich. Razu jednego usłyszeliśmy huk straszliwy, rzeka wezbrała, pędziła na las z taką siłą, że zabrała wszystkie pnie, leżące na ziemi, mnóstwo też innych drzew poobalała i niosła nas na falach do jakiegoś ogromnego wąwozu. Tam zatrzymaliśmy się wreszcie oparliśmy się na skałach, a rzeka pędziła dalej i przykryła nas mułem, kamykami, zagrzebała wkońcu zupełnie, jak w grobie.

— Biedny węgielku! — rzekł Zygmus — i co ty tam robiłeś?

— Spałem tam sobie, i wszyscyśmy spali tam bardzo długo, a zgóry ciągle nas zasypywał muł rzeczny, okruchy skał, pył powietrzny, aż wkońcu zagrzęźliśmy strasznie głęboko, okropny ciężar nas przytłoczył i wszystkie soki z nas wycisnął. Drewno z nas wyschło tak zupełnie, jakgdyby je ogień powolny palił, nareszcie, po upływie bardzo długiego czasu, drewno to

zamieniło się w czarny węgiel. Nigdyśmy tam światła Bożego nie widzieli i przywykliśmy do tej ciemnicy; możesz sobie wyobrazić, jakie było nasze zdziwienie, gdy dnia pewnego zobaczyliśmy jasny promyczek, przedzierający się zgóry przez szczelinę. I nagle wśród ciszy dał się słyszeć łomot jakiś, szpara się rozszerzyła i pierwszy raz wówczas zobaczyłem ludzi, przy świetle latarni, którą przynieśli z sobą.

— Ach! cóż to byli za ludzie, mój węgielku? Czy oni ciebie wydobyli z tej ciemnicy i wyswobodzili?

— A tak, oni poto tam przyszli; dowiedziałem się z ich rozmowy, że miejsce, gdzie ja tyle tysięcy lat przespałem pod ziemią głęboko, zowie się teraz Dąbrowa, a oni to nasze schronienie nazywają kopalnią węgla.

— O, teraz ja już i sam wiem, co się z tobą dalej stało, węgielku — mówił Zygmus — wyciągnęli ciebie stamtąd, naładowali węglem wagony, i ty z braciszkami przyjechałeś do nas do Warszawy.

— Zgadłeś, chłopczyku: wydobyto mnie

z pod ziemi, przywieziono koleją żelazną, złożono w jakimś ogromnym składzie, potem dostałem się do waszego domu, i dziś ta wasza służąca położyła mnie na kominiku i podpałała. Ach! to nie górnicy, to ona dopiero obdarzyła mnie prawdziwą swobodą, bo teraz ja sobie pofrunę z moim przyjacielem *tlenem*, pobujam trochę w powietrzu, a potem już wiem, co zrobię. Nie mogę do dziś zapomnieć szczęśliwych czasów mojej młodości, gdy byłem ładnym drzewkiem zielonym. Poczekam do wiosny, i jak tylko słońeczko przygrzeje, zaraz polecę prosto do lasu, a tam cichutko wcisnę się do listeczka, uczepię się go tak mocno, że mnie nie wypchnie pewnie, bo on mnie przecież bardzo potrzebuje, on się węglem żywi. Jeżeli przyjaciel mój *tlen* będzie wolał fruwać w powietrzu, to cóż robić? Rozstaniemy się, wrócę mu pożyczony skrzydełka, a sam na dobre usadowię się w młodym jakimś drzewku. Teraz dobranoc, chłopczyku! Tobie pora już spać, a mnie pora w drogę. Dobranoc!

P A W E Ł E K.

Zimno, mroźno na dworze, śnieg pokrył ziemię po kostki, ale Pawełek zimna się nie boi, ma ciepły kubraczek, barankami podszyty, czapczkę dobrze wywątowaną, buciki z długimi cholewkami i porządne, grube rękawiczki.

Pawełek jest synem karczmarza, a karczmarza stoi za wsią pod lasem, ma więc chłopczyzna kawał drogi do szkoły. Nigdy jednak ani jednego dnia nie opuści; czy słońce, czy zamieć śnieżna, czy roztopy, on zawsze rano po śniadaniu idzie do szkoły. Musi przechodzić przez las, a chociaż nie obawia się wcale, bo i niema czego — w tym lesie nie słyszano wcale ani o rozbójnikach, ani o wilkach — zawsze jednak dla bezpieczeństwa zabiera z sobą podwórzowego psa, Burka. Pies tak się przyzwyy-

czaił odprowadzać Pawełka do szkoły, że jak tylko zobaczy go z rana w ciepłym kubraczku i czapeczce, natychmiast przybiega do niego, kręcąc ogonem i strzygąc uszami, jakgdyby chciał mówić:

— Jestem już, jestem, kochany chłopcze; ty spełniasz swój obowiązek, a ja swój. Idźmy więc do szkoły.

Kiedy Pawełek siedzi w szkole i uczy się pilnie, roztropny Burek nie ciśnie się za nim do izby, tylko biega sobie w pobliżu i zapoznaje się z innymi psami. Czasem się z którym pokłóci trochę i bójkę stoczy, ale to się zdarza bardzo rzadko, bo Burek nie jest z natury kłótlivy i wtedy tylko zęby wyszczerza, gdy mu kto do żywego dokuczy. Nigdy się nie zdarzyło, żeby Burek się gdzie zawieruszył; gdy chłopcy wychodzą ze szkoły, zawsze czeka już na Pawełka, kręci ogonem i poszczekuje wesoło.

Wracają wówczas obaj żwawo do domu, a jeśli się spóźnią czasem na obiad, to nic jednak na tem nie tracą, bo matuchna zawsze zasuwa ciepłą strawę do pieca dla

Pawełka, a Burek dostaje resztki tego obiadu. Po obiedzie Pawełek biegnie zaraz do izdebki, gdzie mieszka staruszka babunia, całuje ją w rękę i mówi:

— Suche gałązki dla babci są tu w sionce, niech babcia wszystkie do pieca włoży, żeby było ciepło; ja jutro znowu przyniosę cały pęczek.

— Niech cię Bóg błogosławi, kochanku — odpowiada babcia i całuje wnuczka w głowę.

Cóż to za gałązki, i skąd je Pawełek przynosi dla babci? Zaraz to wytłumaczymy. Babcia była niegdyś piastunką dziedzica, a pan ten nie zapomniał o tem i różne dobrodziejstwa świadczył staruszce. Raz poskarżyła się przed nim, że ją krzyż boli, że nie może już dźwigać ani drzewa, ani węgla, i tylko wtenczas sobie bez wielkiego trudu w piecu rozpala, gdy ma pod ręką suche gałązki. A pan na to:

— Moja pocziwa Walentowo, toż ja wam dam pozwolenie zbierać suche gałęzie w moim lesie, który tu jest pod samym

domem, ażebyście zawsze mieli czem sobie napalić w piecu.

I polecił dobry pan leśniczemu i gajowemu, żeby nie bronili starej jego piastunce zbierać gałęzi w lesie. Ale niezawsze to można łatwo tych gałęzi uzbierać. Rodzice Pawełka byli ubodzy, mieli wprawdzie sługę, ta jednak przez cały dzień, od rana do wieczora, musiała siedzieć w izbie gościnnej i miała tam dużo roboty. Matka znów krzątała się i przy kuchni i koło porządku domowego, a ojciec i w domu i za domem miał pracy niemało.

Staruszka babcia wiedziała o tem doskonale i zawsze mówiła, że ona nie lubi, aby jej usługiwano; co mogła, robiła sobie sama. Nie śmiała prosić dziedzica, który i tak bardzo był łaskaw, że na zbieranie gałęzi pozwolił, żeby jeszcze wyznaczył kogo do tego zbierania, więc rzadko kiedy biedna starowina mogła z tego pozwolenia skorzystać, bo samej trudno jej było i schylać się, i dźwigać gałęzie. Aż raz Pawełek uderzył się ręką w czoło i mówi:

— A co też za niezdara ze mnie! Przecie codziennie przez las przechodzę, idąc do szkoły, widzę po drodze mnóstwo suchych gałęzi i nigdy ich dla babci nie zbierałam!

— Dajże ty pokój, dziecko — odrzekła babunia — czy to ty mało masz roboty, jak wrócisz ze szkoły? Toż musisz ojcu pomóc, i konika dojrzeć, i podwórko powymiać, i matce przynieść wody; czyż ty masz czas gałęzie dla mnie zbierać po lesie?

— Ależ ja, babciu, nie potrzebuję umyślnie po to chodzić — mówił chłopiec — wracając ze szkoły, będę tylko podnosił po drodze suche gałęzie, jak którą zobaczę, i nazbiera się cały pęczek, nim dojdę do domu. A toż mi się przecież nic nie stanie, że o tem będę pamiętał i schylę się raz, drugi i dziesiąty!

Tak też zrobił Pawełek: nie potrzebował chodzić osobno po gałązki do lasu, ani nawet biegać po całym lesie, tylko idąc ścieżyną, ile razy zobaczył przed sobą lub obok siebie suchą gałązkę, schylił

się, podniósł ją zręcznie i kładł na małe saneczki, które sobie umyślnie do tego sporządził. Z rana wiózł na tych saneczkach torebkę z książkami i zeszytami, uwiązawszy ją mocno, aby nie spadła, a potem, gdy wracał ze szkoły, znowu na spód kładł torebkę z książkami, a zwierzchu gałęzie.

Wicież, czytelnicy, jaka tu jest dla was nauka w tem opowiadaniu o Pawełku? Oto każde z was nieraz potrzebuje tylko pamiętać i schylić się, aby coś zrobić takiego, co może komuś pożytek przynieść. Tak naprzykład dzieci, uczęszczające do szkół, co rok zazwyczaj dostają nowe książeczki szkolne, a dawne, po większej części zniszczone, podarte, powalane, wyrzucają gdzieś pomiędzy niepotrzebne graty. Gdyby te dzieci chciały pamiętać o tem, że dużo jest małych uczniów i uczennic, których rodzice są ubodzy i od ust sobie odejmować muszą na kupienie takich książeczek, toby swoich nie psuły, a po skończonym roku mogłyby je oddać uboższym kolegom i koleżankom z klas niższych.

Panienki mogłyby pomyśleć o tem, że są biedne kaleki, które proszą, jako o dar szacowny, o małe szmatki kolorowe, bo wyrabiają z tych szmatek różne przedmioty na sprzedaż. Gdyby więc panienki skrzętnie zbierały podobnie niepotrzebne gałganki, kawałki wstążek, sukni lalczy-nych i własnych, składały je starannie w jakiej szufladce miałyby potem wielką przyjemność, oddając je do zakładu nieuleczalnych kalek. Takie panienki, schylając się tylko po każdą szmatkę, która ma być na śmietnik wyrzucona, spełniłyby dobry i pożyteczny uczynek.

Pomyślcie o tem, czytelnicy!

PRZESTRACH JANINKI.

Mamo! Katarzyno! ratujcie! Tu, tu, Katarzyno, na ścianie; ach, co to za straszdyło!

Tak krzyczała mała Janinka, a gdy niebawem nadbiegła mama i za nią służąca Katarzyna, dziewczynka paluszkami wskazała ścianę, po której śpiesznie długimi, cienkimi nogami pomykał pająk.

— Wstydź się, Janinko — mówiła mama — jak można tak się przestraszyć pająka! Cóż on ci złego zrobić może? Widzisz, jak ucieka? On ciebie się tak samo boi, ale niedarmo przynajmniej.

— A! przecież zabiła go Katarzyna, nie będzie mnie więcej straszyl! — rzekła Janka. — Mamuniu, on taki okropny, ja na niego patrzeć nie mogę...

— Moja Janko — odpowiedziała mama — ja także pajaków nie lubię w pokoju, każę je wyrzucać i pajęczyny obmierać, ale nato trzeba być małym i nierozsądnym dzieckiem, ażeby się takiego stworzenia obawiać.

— Mamuniu, czyż ja jestem małym dzieckiem? — rzekła Janinka, która już miała sześć lat skończonych — ale on taki straszny, ten pajak, takie ma długie, obrzydliwe nogi! A gdyby wlaź na rękę, mamuniu, albo na głowę? Ach, okropność a gdyby ugryzł?

— Uspokójże się, moja Janko; w naszym kraju niema pajaków jadowitych, a te, które się czasem zakradają do mieszkani, nie mają najmniejszej ochoty gryźć ludzi, one tylko chwytają w swoje sieci muszki i inne drobne owady, któremi się żywią.

— A to i owszem, niech sobie zajądają muchy, komary, ja ich nie żałuję — mówiła Janinka — niecierpię wszystkich owadów, pajaków i innych, ale pajaków

znieść nie mogę, to najbrzydsze w świecie owady.

— Źle powiedziałaś, moje dziecko: „pająki, najbrzydsze w świecie owady“, bo pająki to nie są wcale owady.

— Co też mamusia mówi? A cóż one są takiego?

— Pająki są to poprostu pająki—rzekła mama — od owadów znacznie się różnią, chociaż napozór rzeczywiście są do nich podobne.

— Moja mammo, czymże się one od owadów różnią? Łażą zupełnie tak samo, takie mają łapki, jak owady.

— Właśnie, że nie takie — odrzekła mama—każdy owad prawdziwy, największy i najmniejszy, motyl, chrabąszcz, jelonek, tak samo jak i komar, ma zawsze trzy pary łapek, a pająki mają cztery pary.

— Ach! takie obrzydliwe te ich łapy! Cztery pary, to znaczy osiem. Ja myślałam, że one ich mają daleko więcej. Ale moja mammo, liszki, to chyba także owady, bo z nich motylki się wykluwają, czytałam

o tem niedawno, a liszki mają czasem więcej, niż trzy pary łapek, na własne oczy widziałam.

— Liszki są to owady niewykształcone, nierozwinięte; dopiero motyl, żuk, mucha, gdy z liszki i poczwarki się wydobędzie, jest już owadem skończonym, nie przemienia się więcej. Otóż ja tylko o takich owadach wykształconych mówiłam, że mają zawsze po trzy pary łapek. Ale wymienię zaraz i drugą ważną różnicę pomiędzy owadami i pajakami: owady odbywają przemiany, z jajek wychodzą liszki, te usypiają, zmieniają się w poczwarki nieruchome, a z tych wkońcu wychodzą wszystkie skrzydlate muchy, żuki, motylki. Pająki przez takie przemiany nie przechodzą wcale, odrazu się rodzą małemi pajęczkami i potem na większe wyrastają.

— Już niech one sobie będą, czem chcą, owady czy nie owady, zawsze ja ich bardzo nie lubię, brzydkie są, nieznośne, nie wiem doprawdy, poco Pan Bóg te pająki stworzył; one do niczego pewnie nie są potrzebne.

— Nie mów tego, moja Janko—rzekła mama — wszystko, co Pan Bóg stworzył, jest potrzebne, chociaż nietylko takie, jak ty, dzieci, ale i starsi często tego zrozumieć nie mogą. Doniedawna jeszcze nikomu nie przychodziło na myśl, aby te pająki, naprawdę bardzo nieładne i niemile, zwłaszcza w pokoju, mogły być jednak użyteczne. Ale pewien człowiek uczony pilnie im się zaczął przypatrywać i śledzić ich obyczaje. I cóż powiesz? Przekonał się, że pająki prawdziwe usługi oddają człowiekowi—nie w pokojach, mamy więc wszelkie prawo wypędzać je z naszych mieszkań — ale w lesie, bo chronią drzewa od zniszczenia.

— A to rzecz ciekawa, jakim sposobem taki pająk, albo i dwadzieścia i sto pajaków, może drzewo od zniszczenia uchronić? Moja mamusiu, jak one to robią?

— Jest mnóstwo drobnych owadów, które strasznie drzewa psują, objadają liście, sadowią się pod korą, gryzą, pożerają tak okropnie, że duże drzewo może uschnąć, gdy je taka chmura nieprzyjaciół obsiedzie. Przychodzą drzewom w pomoc pocziwe

ptaszęta, one bowiem z wielkim smakiem pożerają wszelkie szkodliwe robactwo. Otóż i pająki leśne dzielnie im w tem pomagają, zjadają mnóstwo owadów, toczących drzewa i ogryzających liście, szczególnie zaś lubią jajka tych owadów. Gdzie tylko wykryją gniazdo, zabierają się zaraz do oczyszczenia go z jajek, a to już rzecz prosta, że, gdy jajek zabraknie, młode się nie wyklują i coraz mniej szkodników w lesie się rozmnaża.

— No, no, to doprawdy bardzo dobrze te pająki robią — mówiła Janinka — tylko niechby sobie tam wszystkie siedziały w lesie, a do nas tu do pokoju nie włąziły.

— Słusznie mówisz, moje dziecko; w pokoju pająk jest nie na swoim miejscu, to też widzisz, chociaż okrutną nie jestem, pozwalam jednak Katarzynie zabijać je i pajęczyny im niszczyć. Bronić się od zwierząt szkodliwych i dokuczliwych nie jest okrucieństwem, tylko bez potrzeby pastwić się nad żadnem najdrobniejszym stworzeniem nie wolno. Nieładnie jest także być tak lękliwą, jak moja córeczka, i bać się

pająka. Sama widzisz, że on biedak z większą daleko słuszością ciebie się obawiał, uciekał też jak mógł najspieszniej, chociaż mu się nie udało.

— Szkoda, że Katarzyna nie złapała go żywego i nie odniosła do lasu — rzekła Janinka — niechby tam sobie był pożyteczny, ale tu w pokoju, fe! Nie mogę patrzeć na takie paskudztwo.

— No, że niepiękne są pająki, to prawda — mówiła mama — a jednak dla ludzi, którzy zbliśka znają ich obyczaje, stworzenia te są bardzo zajmujące. Jakie to one naprzykład misterne sieci snują ze swojej pajęczyny! Najpiękniejsze, najdelikatniejsze koronki nie mogą iść w porównanie z temi wyrobami pajaków. Niektóre gatunki urządzają sobie z pajęczyny niby malutkie baloniki i unoszą się na nich w powietrzu. Musiałaś widzieć w jesieni, w pogodę i ciepło, jak te niteczki białe latają sobie ponad płotami i krzakami; nazywają to babilonem latem. Drobniutkie pajęczki są zwykle uczepione do tych lekkich kłaczków, trudno je jednak dojrzeć. Uczeni ludzie, przyrod-

nicy, nigdy ze wstrętem nie patrzą na żadne stworzenie, bo w każdym podziwiają cudowny instynkt, którym je Pan Bóg obdarzył, ażeby sobie radę dawało na świecie.

WIESZCZKA OKRUSZYN.

Adaś był chłopcem dobrym, posłusznym, nigdy nie grymasił i mamy nie martwił, jeden tylko miał zły zwyczaj, z którego nie było sposobu go poprawić. Adaś bardzo nieporządnie jadł chleb i bułeczki; połamie naprzykład kromkę chleba, zje mały kawałeczek, a resztę podrobi, porozrzuca po stole, czasem i pod stołem, i bierze drugą kromkę, z którą robi to samo. Bułeczki, rogaliki przy herbacie także zawsze pokruszył, pogniótł, że i czwartej części tego nie zjadł, co popsuł.

Mama często przestrzegła Adasia, mówiła mu, że to nietylko brzydko, ale niepoczciwie tak marnować chleb, dar Boży, że jest bardzo dużo ubogich dzieci, któreby zjadły jak największy przysmak te resztki, wyrzucane przez niego, bo one czasami

kawałeczka czarnego, suchego chleba nie mają, gdy im głód dokucza. Adaś słuchał tego niby uważnie, rozumiał, że mama dobrze mówi, ale po chwili zapominał i znów robił to samo.

Raz latem w piękną pogodę mama pojechała z nim do lasu, zabrawszy z sobą różne zapasy żywności na podwieczorek, bo na świeżem powietrzu zawsze się ma wyborny apetyt. Adaś pierwszy raz w życiu widział taki duży las, wszystko go tam bawiło, słuchał kukania kukułki, kucia dziecięcia, świegothu różnych ptasząt, nareszcie zobaczył wiewiórkę, skaczącą po gałęziach drzewa.

Wiewiórka także spostrzegła Adasia, a takie dzikie zwierzątka zwykle okropnie boją się małych chłopczyków, bo wiedzą, że oni lubią je chwycić i męczyć, a przynajmniej więzić, co dla biednego stworzenia, nawykłego do swobody, jest także męczarnią. Otóż wiewiórka, spojrzawszy tylko na Adasia, zaczęła uciekać, skacząc z jednego drzewa na drugie. On gonił za nią, choć złapać jej nie mógł, bo była

bardzo wysoko, ale lubił patrzeć na zgrabne jej susy.

Mama zajęta była odpakowywaniem podwieczorku z kosza, nie zauważyła więc, że chłopczyk się oddalił, a on, biegnąc ciągle prędko, ażeby wiewiórki z oczu nie stracić, zapuścił się w głąb lasu. Wkońcu jednak wiewiórka go prześcignęła, i nie mógł jej nigdzie dojrzeć. Wówczas dopiero przypomniał sobie nasz chłopczyk, jak mama po kilka razy powtarzała, aby nie odchodził od niej daleko, bo las duży, gęsty, więc łatwo w nim zabłądzić może. Ach! on teraz naprawdę zabłądził; zaczął biec, wołać mamy z całej siły, ale tylko echo z lasu, jakby naśmiewając się z niego, powtarzało: „Mamo! mamol“ Głos mamy się nie odzywał.

Adaś biegł czas jakiś w jedną stronę, potem zawrócił w inną, i znów w inną, wszystko nadaremnie, nie było sposobu trafić do miejsca, gdzie mama została z koszem. A gdy ten kosz stanął mu na myśli, uczuł chłopczyzna, że jest głodny i to bardzo, bardzo głodny. Wyjeżdżając z domu,

nie jadł prawie obiadu z wielkiej radości, rachując na podwieczorek, a tu teraz do podwieczorku dostać się nie może!

Straszno mu się także zrobiło; toż w lesie, w takim dużym lesie bywają wilki i inne drapieżne zwierzęta, a te, gdy im głód tak dokuczy, jak jemu, gotowe jak nic małego chłopczyka pożreć na podwieczorek. Musiało niemało czasu tak upływać, bo Adaś okropnie się zmęczył, nóg prawie nie czuł i splakany, zbiedzony, nie mogąc już kroku postąpić, padł pod drzewem, myśląc ze strachem, co będzie, gdy słońce zajdzie, i ciemno się zrobi w lesie.

Już prawie przytomność tracić zaczął, a tu jeszcze coś zamajaczyło za drzewami, poruszyło się, jakiś dziwny szelest dał się słyszeć. Adaś zamknął oczka, bo bał się patrzeć na tę jakąś rzecz okropną. Po niejakim czasie otworzył znów oczy, spojrzął, i o dziwo! To nie zwierz żaden drapieżny, nie żadna rzecz okropna, tylko śliczna, młoda pani, ubrana bardzo pięknie, stała pod drzewem wpobliżu. Sukienkę miała błękitną, jak niebo, szarą z białej, przejrzy-

stej gazy, na głowie wianeczek z polnych kwiatów. U nóg jej stał duży kosz, napęczniony samemi kromeczkami chleba różnej wielkości i połamanemi bułeczkami.

Dalej trochę zobaczył Adaś gromadkę dzieci, starszych i młodszych, siedzących na trawie. Wszystkie były skromnie, ubogo nawet ubrane, ale twarzyczki i ręce miały czysto umyte, wyglądały na jakieś dobre, grzeczne dzieci.

— Przystępujcie pokolei — odezwała się piękna pani, zwracając się do nich — najbardziej zgłodniałe niech przyjdą naprzód, wystarczy dla wszystkich.

I dzieci bez żadnych sporów, zgodnie, spokojnie zbliżały się do niej, ona wyjmowała z kosza kawałki chleba i rozdawała każdemu pokolei. Adaś, niewiele myśląc, zerwał się także, podbiegł do tej pani i rączkę po chleb wyciągnął, bo i on przecież był bardzo zgłodniały.

— A to co?—spytała piękna pani, zupełnie innym głosem, poważnym i surowym—ty, mój chłopczyku, nie masz prawa do tego chleba.

— Kiedy ja tak okropnie jeść chcę — wyrzekł chłopczyna żałośnie.

— Chcesz jeść? — powtórzyła pani — to dobrze, będziesz wiedział teraz, co to jest głód, i może zrozumiesz, że nie godzi się marnować chleba, gdy się go ma pod dostatkiem, bo są inni, ubożsi, którym ten chleb przydać się może. Ja jestem wieszczką okruszyn, zbieram po świecie wszystkie resztki, okruszyny chleba i bułek, rozrzucone przez takie niebaczne dzieci, jak ty. O! dużo, bardzo dużo zawsze zbierałam po tobie. Gdy uzbieram kosz pełny, rozdaję to biednym, głodnym dzieciom, a najdrobniejsze okruszyny sypię ptaszętom.

Mówiąc to, wieszczka wzięła ze spodu kosza garść drobnych okruszyn, rzuciła na trawę, a wnet zleciało się mnóstwo ptasząt i zajadały chciwie.

— Ale ty nic z tego nie dostaniesz — mówiła dalej do Adasia — pocios chleb marnował, gdyś go miał za dużo? A widzisz, jaka to przykra rzecz być głodnym i nie mieć czem się posilić! Będziesz miał naukę.

— Ależ ja taki okropnie, okropnie głodnym jestem! — wołał biedny Adaś, zalewając się łzami; padł na kolana, złożył ręczki i mówił błagalnym głosem:—O! pani wieszczko, kochana pani wieszczko okruszyn, ja już się poprawię, nigdy nie będę rozrzucał chleba, nigdy w życiu, tylko proszę mi dać choć garsteczkę tych okruszynek, tych co dla ptaszków!

— Czy naprawdę przyrzekasz?—rzekła wieszczka łagodniej nieco — czy tylko dotrzymasz słowa?

— O, dotrzymam, dotrzymam! — powtarzał Adaś — nigdy najmniejszej okruszyny nie wyrzucę.

— To dobrze, zamknijże oczy — mówiła wieszczka.

Chłopczyk zamknął oczy, a w tejże samej chwili uczuł jakieś ramiona, obejmujące go, unoszące w górę; spojrzął i wykrzyknął z radości: to mama trzymała go w objęciach, okrywając pieścizotami. Wieszczka okruszyn znikła razem z koszem, znikła także i gromadka ubogich dzieci, Adaś sam jeden był z mamą.

— Biedaczku mój! — mówiła mama — zasnąłeś ze zmęczenia i coś straszego musiało ci się przyśnić, bo tak jęczałeś i żaliłeś się przez sen. Bogu dzięki, żem cię odszukała! Chodźmy prędeż na podwieczorek, musisz być bardzo głodny.

— Ach! to wszystko mi się śniło — zawołał Adaś.

— Co ci się śniło? co?

Adaś opowiedział mamie swój sen, a ona, wysłuchawszy, rzekła:

— Radzę ci jednak, moje dziecko, dotrzymać słowa, danego przez sen tej wieszczce okruszyn, bo w tem, coś od niej słyszał, jest dużo prawdy.

— Dotrzymam, mamusiu, dotrzymam— mówił Adaś, zajądając podwieczorek, a na początek prosił mamy, aby to, co zostało, pozwoliła mu zanieść dzieciom biednej Maciejowej, stróżki, drobne zaś okruszyny posypał zaraz ptaszkom, tak, jak wieszczka robiła.

NIEPOŚLUSZNA LUSIA.

Zimno bardzo na dworze, wiatr wieje, śnieg pada, kto tylko nie ma koniecznej potrzeby wychodzić na ulicę, woli siedzieć w ogrzonym pokoju. Mama małej Lusi, pomimo niepogody, musiała wyjść, kupić flanelki na ciepłe sukienki dla dzieci, to jest dla Lusi i młodszego jej braciszka, Adasia, który jeszcze w kołysce leży. Mama ubrała się ciepło, wzięła też parasol, bo śnieg padał. Luscia chciała koniecznie iść także, ale mama zaśmiała się z tego i powiedziała, że dzieci nie powinny wychodzić w tak okropną porę.

Lusia była zwykle grzeczna i posłuszna, miała jednak muszki w nosie, nadąsała się, że jej mama dogodzić nie chciała, i bardzo nedorzeczna myśl przyszła jej do główki. Janowa piastunka siedziała przy kołysce

Adasia; dziecko spało, i ona zdrzemnęła się trochę i wcale nie zważała na to, co tam Lusia w drugim pokoju robiła, bo też dziewczynka zwykle nie robiła nic złego. Lecz teraz, jak już powiedzieliśmy, muszki w nosie poddały jej myśl niedorzeczną.

Więc pomyślała sobie Lusia: „Mama nie chciała mnie wziąć z sobą, otóż ja pójdę sama, spotkam mamę na ulicy, i będzie musiała mnie zabrać“. Jak pomyślała, tak zrobiła. Nie mogła odszukać swojego kapturka ani płaszczyka, ubrała się zatem w stary letni kapelusz mamy, który znalazła nadole w szafce. Żeby ładniej wyglądała, przypięła do niego duże pióro czerwone, wyciągnięte z miotelki od odkurzenia, wzięła w rękę ogromny parasol ojca i cichutko wysunęła się do sieni, a stamtąd na ulicę.

Z początku Lusia szła śmiało, nie zważając na wiatr i zimno, ale, gdy śnieg zaczął ją ciąć po twarzy, a wiatr o mało nie zerwał kapelusza, strach ogarnął nieposłuszną dziewczynkę. Parasol zawadzał jej tylko, wlokła go ze sobą, bo otworzyć

nie umiała, drugą rączką podtrzymywała ogromny kapelusz, a tu zimno tak okropnie przejmowało ją całą, że trząść się zaczęła i ząbkami dzwonić.

Lusia poznała teraz, jak wielką popełniła niedorzeczność, zwróciła się do domu, ale tak jej śnieg oczka zasypywał, że nie widziała przed sobą i do drzwi trafić nie mogła. Niewiele myśląc, Lusia rozpląkała się głośno na ulicy, a tu ktoś raptem chytyła ją wpół i woła:

— A toż co tu panienczka robi, Chryste Jezus! w taki mróz i w jednej sukieneczynie!

Lusia nastraszyła się okropnie, myślała z początku, że to jakaś stara cyganka chce ją ukraść, bo nie mogła poznać kobiety, która do niej mówiła. Lecz po chwili przypomniała sobie, że to stróżka; widziała ją nieraz przez okno, jak zamiatała podwórze.

— Ja wyszłam za mamusią — szepnęła Lusia nieśmiało — ale tak zimno strasznie...

— Jakże to można wychodzić tak bez pozwolenia? Oj, dzieci, te dzieci!

Stróżka chwyciła dziewczynkę na ręce i odniosła ją do domu, a tam już piastunka Janowa, przebudziwszy się ze snu szukała jej po pokoju i w kuchni. Gdy zobaczyła Lusię, zasypaną śniegiem, drżącą z zimna, aż ręce załamała z przestachu. Przeleżała się także i mama, gdy powróciła z miasta i dowiedziała się o tem, co zrobiła córeczka.

Przestrach ten nie był daremny. Lusie przeiębiła się na mrozie i dostała zapalenia płuc, niebezpiecznej choroby, na którą dużo dzieci umiera. Na szczęście, Lusie nie umarła, uratowały ją troskliwe starania. Ile zmartwienia niedorzeczność jej przyczyniła biednej mamie, tego i opowiedzieć trudno. Nie potrzebujemy upewniać, że Lusie po takiej smutnej przygodzie nigdy już nie dąsała się na mamę i słuchała jej we wszystkim.

M A R J A N E K.

Mały Marjanek był jedynakiem, wszyscy w domu troszkę zanadto go pieścili, tem bardziej, że chłopczyk często chorował. Mama ciągle się obawiała, ażeby mu to lub owo nie zaszkodziło, nigdy do niczego nie zmuszała, a Marjanek troszkę się tym sposobem rozgrymasił. Nie lubił naprzykład myć się zimną wodą, chociaż to bardzo zdrowo dla dzieci, latem więc nawet przynoszono mu do mycia wodę ogrzaną. Nie lubił także wstawać wcześniej i chociaż się przebudził, leżał czasem godzinę i dłużej w łóżeczku, a bona cierpliwie czekała, póki pieszczoszek, przypomniawszy sobie o śniadaniu, nie wydobędzie się wkońcu z pościeli.

Rodzice Marjanka mieszkali w Warszawie, ale razu jednego mama pojechała

z synem na całe lato na wieś, do cioci. Ciocia ta miała kilkoro dzieci; jeden synek, Stefuś, o rok starszy od Marjanka, odrazu się z nim zaprzyjaźnił. Obaj biegali razem po ogrodzie i bawili się wybornie, a Marjanek, który w mieście rzadko kiedy bawił się z dziećmi swojego wieku, był uszczęśliwiony. Pierwszy dzień zbiegł mu tak szybko, że ani się obejrzał, gdy wieczór nadszedł, i chłopczyk, znużony bieganiem, usnął smacznie w łóżeczku, a nazajutrz przebudził się wcześniej niż zwykle.

Zrazu Marjanek miał ochotę podrzemać jeszcze trochę w łóżeczku, ale przypomniał sobie, że jest na wsi, więc zerwał się boso, w koszulce i pobiegł do okna. Pogoda była śliczna, słońce świeciło jasno, ptaszki śpiewały w ogrodzie. Marjankowi odechciało się zupełnie leżeć w łóżeczku; nie czekając na bonę, która gdzieś wyszła, bo nie spodziewała się, że on tak rano wstanie, zaczęła wciągać pończoszki i trzewiczki. A wtem usłyszał w drugim pokoju plusk taki, jak gdyby kto odrazu całą konewkę wody wylał. Drzwi były odchyłone, Marjanek

otworzył je zupełnie, zajrzał i zobaczył, jak służąca oblewała wodą Stefusia od stóp do głowy, a on stał prościuteńko w ogromnej balji; ile razy woda się na niego polała, otrząsał się tylko i prychał, jak swawolny źrebaczek.

— Czy to ty się tak kąpiesz?—zawołał Marjanek zdziwiony—a czy to woda ciepła?

— Ciepła!—wykrzyknął Stefuś, śmiejąc się—popróbuj: to woda prosto ze źródła.

— Co? Zimna woda?—spytał Marjanek, a niedowierzając, zbliżył się i umoczył koniec palca w konewce.—Naprawdę zimna!—rzekł przestraszony — jakże ty to możesz wytrzymać?

— Cha, cha, cha!—zaśmiał się Stefuś—czy to ja piecuch jestem? Taka zimna kąpiel jest bardzo przyjemna.

— Stefuś do tego przyzwyczajony — rzekła ciocia, która weszła w tej chwili do pokoju — i ty, Marjanku, gdybyś spróbował raz i drugi, tobyś się przyzwyczał. Mówiłam o tem właśnie z twoją mamą.

— Ach, ciociu! to taka okropna rzecz—mówił Marjanek z przestachem.

— Nie bójże się, nikt cię nie będzie zmuszał. Ale cóżto tak raniutko wstałeś? Mama twoja mówiła, że zwykle sypiasz do dziewiątej.

— Bo dziś jakoś przebudziłem się, i spać mi się już nie chciało; tak ślicznie na dworzec!

— To bardzo dobrze—mówiła ciocia—raz i drugi wstaniesz rano, to się przyzwyczaisz, a to bardzo zdrowo. Stefuś wstaje codziennie o szóstej przez całe lato; on już tak przyzwyczajony.

Chłopczyki ubrali się żwawo i po śniadaniu wybiegli zaraz do ogrodu. Stefuś miał swój własny, małeńki ogródek, miał także różne małe narzędzia ogrodnicze: rydelek, grabie, taczkę, koneweczkę, i pozwolił Marjankowi bawić się tem wszystkim. Chłopczyki wozili piasek taczką, jeden rozsypywał go po ścieżkach w ogródku, drugi wyrównywał małemi grabiami, a śliczna to była zabawa.

— Stefciu! Wujaszek przyjechał! — zawołała mama zdaleka—i Adasia przywiózł, chodź prędko!

— Wujaszek! — powtórzył Stefcio ucieszony — i Adaś! Toż dopiero będziemy się wybornie bawili — i chciał biec prędko do domu, a wtem sobie coś przypomniał, chwycił taczkę i zawołał na Marjanka: — Bierz grabie i idź za mną, trzeba to odnieść do altanki i koneweczkę także.

— Pocóż to? — pytał Marjanek — nie można tu zostawić?

— Nie można — odrzekł Stefcio — bo to nieporządek.

Odnieśli wszystkie narzędzia do altanki, potem dopiero pobiegli śpiesznie i spotkali po drodze obie mamy, wujaszka i syna jego, Adasia, chłopczyka tego samego wieku, co Marjanek i Stefcio.

— Nie mogliśmy się was doczekać — mówił wujaszek.

— Bo myślałem, że nie wrócimy zaraz do ogrodu — rzekł Stefcio — i musiałem wszystko poskładać.

— To dobrze, chłopcze — powiedział wujaszek — że taki jesteś porządny.

— O, on do tego jest przyzwyczajony — odezwała się matka Stefusia.

Znowu chłopczyki bawili się wybornie, teraz już we trzech. Wieczorem, gdy Marjanek miał iść spać i sam został ze swoją mamą, zapytał jej znienacka:

— Dlaczego to, mamuniu, ten Stefcio taki jest dziwny, że do wszystkiego się przyzwyczajają?

— Jakto? do czegoż to on się tak przyzwyczajają?

— Rano oblewają go całego wodą zimną, a on ani się skrzywi i śmieje się tylko. Ciocia mówiła, że on do tego przyzwyczajony. Sam zawsze wszystko poskłada, choć mu nikt nie przypomina, i ciocia powiedziała wczoraj, że on już tak przyzwyczajony.

— Moje dziecko — powiedziała mama z uśmiechem — nietylko Stefcio, ale każdy może się tak samo przyzwyczaić do wszystkiego, byle chciał tylko. Dzieciom to bardzo łatwo przychodzi.

— Moja mamó — spytał Marjanek — czy naprawdę i ja bym mógł przyzwyczaić się nawet do takiego okropnego oblewania zimną wodą?

— Ależ w tem niema nic okropnego, mój Marjanku — odrzekła mama — to rzecz bardzo zdrowa. Gdybyś tylko spróbował, pierwszy raz byłoby ci troszkę nieprzyjemnie, na drugi dzień łatwiejby już poszło, a wkońcu przyzwyczaiłbyś się zupełnie, tak samo, jak Stefuś.

— Mamo, ja jutro spróbuję! — rzekł Marjanek.

Mama przypomniała mu to rano. Troszkę się bał chłopczyzna, ale mama posadziła go na kolanach, umoczyła dużą gąbkę w zimnej wodzie i zmywała go prędyutko, potem szybko ręcznikiem wycierała. Marjanek zaciskał ząbki, żeby nie krzyczeć, ale tak mu było potem przyjemnie, tak rzeźwo, że i na drugi dzień pozwolił się obmyć. W kilka dni już zimna woda nie sprawiała mu żadnej przykrości i oblewano go całego w balji, tak samo, jak Stefusia. Przyzwyczał się także i do rannego wstawania, i do porządku; przekonał się, że mama dobrze mówiła: kto chce, do wszystkiego przyzwyczać się może.

Ś L I Z G A W K A.

Zima, mróz tęgi, woda wszędzie na dworze zamarza, wyborna pora ślizgawki. Kazia i Bronka mają śliczne, malutkie saniczki, które wybornie się suną po zamarzej sadzawce w ogrodzie.

Mama pozwala im ślizgać się na tych saniczkach pod opieką starego Jakóba, kredencera. On dzieci troskliwie pilnuje i przy nim z pewnością nic im się złego nie stanie. A co to za przyjemna rzecz taka ślizgawka! Gdy Jakób lekko popchnie saniczki ztyłu, one pędzą jak strzała po lodzie; dziewczynki, otulone w ciepłe futerka, siedzą spokojniutko, nie kręcą się, żeby która przypadkiem nie wyleciała. Czasem śnieg padać zaczyna, a to tak zabawnie! Białe płateczki śniegu zasypują płaszczyki i czapeczki naszych dziewczątek,

spadają także na twarzyczki, ale to nic nie szkodzi; śnieg jest suchy, nie przemoczy ubrania, otrzepać go bardzo łatwo, powróciwszy do domu.

Już Kazia i Bronka ślizgały się całą godzinę. Jakób powiada, że to dosyć, trzeba powracać do pokoju. Dziewczynkom się jeszcze nie chce, ale one są grzeczne i posłuszne, wiedzą, że Jakób spełnia polecenie mamy, więc nie sprzecząc się, wysiadają natychmiast z saneczek i biegną prędko do domu. Zdejmują ciepłe ubrania... ach! jakie wszystko zasypane śniegiem. A oto jeden płateczek biały przy rozbieraniu spadł przypadkiem na sukienkę Kazi. Jaki on zabawny! Kazia woła Bronki, i obie przypatrują się temu płateczkowi.

O, jakież to śliczne! Małeńka, biała gwiazdeczka, sześć pręcików równiuteńkich, jakby sześć promyczków, bieży od środka gwiazdeczki na wszystkie strony dokoła. A oto druga taka sama, i trzecia... płateczek śniegu cały jest złożony z takich małych gwiazdeczek. Ile też to ich zlepić potrzeba na jeden duży płatek i na wszyst-

kie płatki, które spadają tak gęsto na dworze i cały ogród zasypały!

Ale cóżto się stało? Jeden promyczek gwiazdeczki śniegowej gdzieś znikł, i drugi, i wszystkie: niema już gwiazdeczki, została tylko w tem miejscu na sukience mała kropelka wody. Bo śnieg — to woda zamrznięta, a gdy woda od zimna zamarza, to zawsze się z niej robią takie małe gwiazdeczki. Jeżeli mróz silny na dworze, to i w pokoju na oknach wilgotnych woda marznie, a gwiazdeczki tak dziwnie się zlepiają wszystkie razem, że na szybach robią się z tego śliczne listeczki i kwiaty lodowe. W bryłce lodu gwiazdeczki tak szczelnie są przyklejone jedne do drugich, że ich wcale nie widać.

Już na sukience Kazi nawet i wilgoci niema ze śniegu, gwiazdeczki stopniały i zamieniły się w wodę, ale cóż się z tą wodą stało, gdzie się ona podziała? Sukienka wyschła prędko, bo ciepło w pokoju. Zawsze tak wilgotne rzeczy wysychają, a przy gorącym piecu najprędzej; gorącym żelazkiem można mokrą chusteczkę w jednej chwili

wysuszyć zupełnie. Jakimże to sposobem ta woda znikła? Ona ulatuje w powietrze, dzieli się na drobniuteńkie kropelczki, bardzo lekkie, a te unoszą się w górę i są niewidzialne. Taka woda niewidzialna, złożona z kropelczek drobniuteńkich, unoszących się w powietrzu, nazywa się parą.

Otóż trzeba, ażeby dzieci wiedziały, że woda może mieć postać trojaka: bywa twardą bryłą, czyli lodem, cieczą, czyli zwyczajną wodą, i parą niewidzialną. Woda zamarza tylko na mrozie, w ciepłe zwyczajnem jest cieczą i potrosze tylko paruje, a gdy bardzo gorąco, wszystka zamienia się w parę.

M Y S Z K I.

Były sobie dwie myszki, mieszkały w jamce pod drzewem; w dzień zwykle siedziały tam pod ziemią cichuteńko, a wieczorem, gdy już na dworze się zmierzchało, najpierw jedna, potem druga wystawiały pyszczek z jamki i, jeżeli nigdzie nie było słychać żadnego szelestu, biegły prędziutko szukać czegoś smacznego do jedzenia. Lubiły te myszki różne korzonki, ale najlepiej im smakowały ziarenka, i szukały ich pilnie wśród trawek i ziółek.

Pewnego wieczora biegły obok dworu i spotkały się ze znajomą myszką domową. Była to daleka ich krewna, starsza od nich znacznie, więc przez uszanowanie nazywały ją ciocią, ona zaś na nie wołała po imieniu. Jedna miała imię Szarusia, druga Aksamitka.

— Dobry wieczór, Szarusiu, dobry wieczór, Aksamitko! — powiedziała myszka domowa.

— Dobry wieczór cioci — odpowiedziały.

— A dokąd tak śpieszycie?

— Jeszcześmy dziś wieszery nie jadły, proszę cioci — rzekła Szarusia — bo taki jakiś hałas był koło naszego mieszkania, żeśmy się obawiały wychodzić. Ale tu niedaleko jest łączka, znajdziemy tam pewno dużo ziarenek dojrzałych.

— Zawsze się wam dziwię — mówiła myszka domowa — że tam na tej pustyni mieszkacie. Nie wiem, czemu się nie przeniesiecie tu, do dworu; miałybyście daleko lepsze wygody i smaczniejsze jedzenie. Lubię i ja czasem ziarnka, ale wolę serek i słoninkę. O! słoninka to wyborna rzecz, jabym żyć nie mogła bez słoninki.

— Ej, moja ciociu — odrzekła Aksamitka — nam tam dobrze w tej jamce, gdzie mieszkali rodzice nasi i dziadowie! Nigdy w życiu nie chciałabym się stamtąd wynosić, a i Szarusia pewnie tak samo myśli.

— O, tak — dodała Szarusia.

— Bo nigdy chyba nie widziałyście piękniejszych mieszkań i nie kosztowałyście słoninki — mówiła mysz domowa, kręcąc pogardliwie ogonkiem.

— I owszem — rzekła Aksamitka — byliśmy przecież raz u ciotki na imieninach, częstowała nas ciocia słoninką w tym ładnym swoim salonie pod podłogą spiżarnianą.

— Niezła jest ta słoninka — powiedziała Szarusia — ale snać nie jest bardzo zdrowa. Pamiętam, jak wróciłam z tych imienin, dostałam niestrawności i musiałam na drugi dzień być na diecie.

— Więc naprawdę nie macie ochoty mieszkać w takim pięknym salonie, jak mój, i zajadać codzien różne przysmaki? — pytała myszka domowa z podziwieniem. — Gdybyście wiedziały, jak u nas wesoło i przyjemnie, zwłaszcza odkąd gospodyni wyrzuciła tego obrzydliwego kota za to, że wypił śmietankę, przygotowaną do kawy dla państwa! Jest nas spora gromadka pod podłogą spiżarnianą, a jak

tylko ucichnie wszystko, biegamy sobie wszędzie, tańczymy po stołach, po półkach i zajadamy różne przewyborne rzeczy. O, bo ludzie mają gust dobry: co też to oni za osobliwe rzeczy przyrządzają!

Mówiąc to, myszka zaczęła się oblizywać, a Szarusia powiedziała:

— Jaby tam nie mogła wyżyć w takiej zamkniętej spiżarni, daleko przyjemniej jest biegać po polach, po łąkach; gdyby jeszcze nie te niegodziwe sowy, które ciągle na biedne myszki czatują, byłaby rozkosz prawdziwa. Ziarnka i korzonki są bardzo smaczne i zdrowe; obejdziemy się bez tych wymyślnych przysmaków spiżarnianych; nieprawdaż, Aksamitko?

— O, tak, tak! — zawołała Aksamitka — najlepiej to przestawać na swoim. Dobrze nam w naszej jamce, nie przeniesiemy się do dworu! Niech tam ciocia, co chce mówi, niema to jak skromne życie wiejskie na świeżem powietrzu, jedzenie niewybredne, ale zdrowe.

— Ach, moja Aksamitko — przerwała jej Szarusia — my tu gadu gadu, a tymczasem noc zapada, straszenie się dziś z wieczerzą opóźniły, już jestem porządnie głodna. Dobranoc cioci!

Dwie młode myszki pobiegły śpiesznie na łączkę, a mysz domowa przesunęła się szybko wzdłuż ściany i wskoczyła w dziurkę, prowadzącą długim przejściem podziemnym aż pod podłogę śpiżarnianą.

WYCIECZKA DO LASU.

Antoś i Zosia były to dzieci ubogiej wdowy, mieszkającej na wsi. Matka nie miała czasu czuwać ciągle nad niemi, prowadzić ich na przechadzkę, zwykle też bawiły się same lub z innymi dziećmi niedaleko domu. Raz Antoś zaczął prosić matki, żeby mu pozwoliła pójść z kilkorgiem starszych dzieci do lasu.

— Oni będą zbierali jagody i grzyby, a i ja matusi jagód uzbieram choć mały garnuszczyk.

— Mamusiu, i ja pójdę na jagody z Antosiem — prosiła Zosia — nigdy jeszcze nie byłam tak daleko w lesie, a inne dziewczynki nieraz chodzą.

— Chodzą tylko starsze — odrzekła matka — tybyś jeszcze, broń Boże, zabłądziła.

— Jagusia młynarza nie starsza ode mnie, a chodzi zawsze ze starszą siostrą i na grzyby, i na jagody — mówiła Zosia.

— Ze starszą siostrą, to co innego.

— A ja pójdę ze starszym bratem, toć Antoś starszy ode mnie.

— To prawda, matusiu — odezwał się Antoś — ja jestem starszy od niej, niechże mama ją ze mną puści.

— A czy będziesz jej pilnował? — zapytała matka.

— Czemużbym nie pilnował? Z nią przecież łatwiej sobie dać radę, niż z tą małutką Andzią kowalą, która jeszcze chodzić nie umie, a Jurek, starszy brat Andzi, zawsze jej pilnuje, gdy matka z domu wychodzi.

— No dobrze, to idźcież — powiedziała matka — tylko pamiętaj, Antosiu, oddaję ci Zosię w opiekę, pilnujże jej, nie odstępуй ani na chwilę, bo ona jeszcze mała, mogłaby zabłądzić, a gdyby tak noc ją zaskoczyła samą jedną w lesie...

— Ojjoj! matusiu — przerwała Zosia — a toż byłaby okropność! — i oczka obiema rączkami zakryła ze strachu.

— To nie idź, kiedy się boisz—rzekła matka.

— Ej, już pójdę, mateczko, nic mi się nie stanie, Antoś mnie dopilnuje.

— A pamiętajże, nie odchodź od niego! — powiedziała jeszcze matka, dała im na drogę kawałek chleba i sera, i koszyczek na grzyby, i garnuszek na jagody, potem odeszła do swojej roboty, a dzieci pobiegły wesoło i wkrótce w towarzystwie dwóch starszych dziewczynek i trzech małych chłopaków podążyły do lasu. Dziewczęta szły naprzód, śpiewając, niosły także koszyki i garnuszki, bo one nie dla zabawy do lasu się wybrały, ale na zbieranie jagód i grzybów, które miały później zanieść do dworu na sprzedaż. Chłopcy obiecywali im pomagać, ale jak przyszli do lasu, jeden zaraz wdrapał się na drzewo, bo mu się zdawało, że zobaczył gniazdo, inni pobiegli dalej i zaczęli kukać, śmiejąc się, gdy echo z różnych stron im odpowiadało. Antoś i Zosia szli z początku obok siebie; on znalazł kilka ślicznych poziomek i dał je siostrzyczce, potem ona

znów znalazła taką ogromną a czerwoną, pachnącą, i chciała koniecznie, żeby Antoś zjadł tę jagódkę.

— A co! nie mówiłem, że jest gniazdo! Ptaszki poleciały, a w gniazdku leżą jajka, aż cztery, takie śliczne, nakrapiane!

Tak wołał Jakóbek, chłopczyk, który był wlaź na drzewo.

— Jajka! — wykrzyknął Antoś i klasnął w ręce — poczekaj-no, ja także się tam wdrapię i zobaczę. Zosiu, nie odchódź, ja zaraz wrócę.

I zaczął wlaźć na drzewo. Zosia przez chwilę spoglądała za nim, potem popatrzyła w inną stronę i spostrzegła w oddaleniu coś dużego, czerwonego.

— „Jakiś kwiatek prześliczny!“ — pomyślała sobie i pobiegła go zerwać. Lecz jakież było zdziwienie dziewczynki, gdy zobaczyła zamiast kwiatka ogromny grzyb czerwony w białe kropki.

— Co za przepyszny grzyb! — zawołała — urwę go dla mateczki; toż się ucieszy! Nigdy jeszcze u nas nie było takich osobliwych grzybów.

Mała Zosia nie wiedziała, że takie grzyby nazywają się muchomory i są straszną trucizną, zerwała więc czerwony, piękny grzyb i wrzuciła do fartuszka. A wtem odezwało się w lesie: Kukul kukul!

— Kukułeczka! — wykrzyknęła dziewczynka — ach! gdybym to ją mogła zobaczyć!

I, nie namyślając się, pobiegła w stronę, skąd się dawał słyszeć głos kukułki. Ale nadaremnie zaglądała, podnosząc główkę; nie mogła dojrzeć ptaka, który czasem odzywał się bliżuteńko, tuż przy niej, to znów gdzieś daleko, i wówczas Zosia biegła dalej, chcąc go dogonić koniecznie. Nakoniec tak się zmęczyła, że musiała usiąść na trawie. Biegając, zgubiła czerwony grzyb; żal jej było bardzo, że go matce nie odniesie, ale pomyślała, że może jeszcze drugi się znajdzie, gdy Antoś pomoże jej szukać.

I, odpocząwszy, dziewczynka zaczęła biec, wołając Antosia, bo jej się zdawało, że to drzewo, na które on wdrapał się razem z Jakóbkiem, było bliżuteńko. Tymczasem Antoś się nie pokazywał, bo Zosia

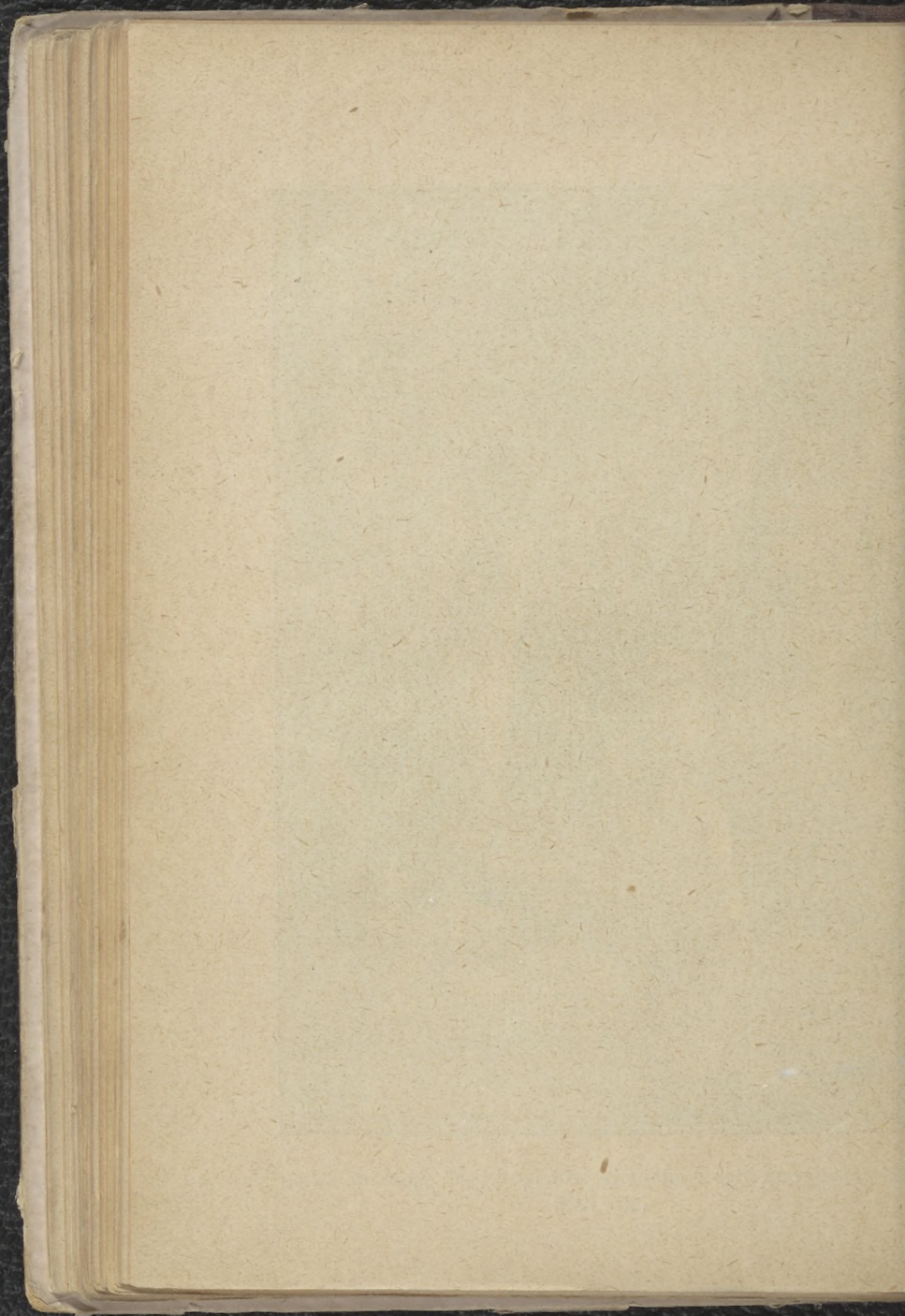
nie mogła trafić do tego miejsca i szła w stronę przeciwną, coraz więcej się od braciszka oddalała. Poznała wkońcu, że jest sama jedna, że zabłądziła w lesie, i przeleżała się bardzo. Zaczęła więc znowu biec z całej siły, wołając ciągle: „Antosiu! Antosiu!”—ale echo tylko jej odpowiadało.

Gdy tak Zosia błądziła po lesie, Antoś także spostrzegł, spuściwszy się z drzewa, że siostrzyczki niema. „Pewnie poszła z dziewczętami rwać jagody” — pomyślał sobie, choć mu się trochę straszno zrobiło, pobiegł więc poszukać dziewcząt, znalazł jedną, potem drugą, żadna jednak Zosi nie widziała. Antoś rozplakał się z przestachu i zmartwienia, przypomniał sobie, jak to on obiecywał matce pilnować siostrzyczki; sumienie mu wyrzucało, że przyrzeczenia nie dotrzymał. Inne dzieci go pocieszały, wszystkie rozbiegły się po lesie, hukając i nawołując, ale Zosia znikła, niepodobna jej było odnaleźć, a tu czas upływał, i wiecór wreszcie się zbliżył.

— Trzeba iść do domu — powiedziała jedna z dziewczynek.



Zaczęła więc znowu biec z całej siły, wołając ciągle: „Antosiu! Antosiu!”
(str. 190).



— Idźmy żywo — dodała druga.

— Chodź i ty — rzekł Jakóbek do Antosia—powiesz matuli, może ona prędzej Zosię znajdzie w lesie.

— O mój Boże! mój dobry Boże! — biadał Antoś — jakże ja mogę bez Zosi pokazać się matuli? Nie pójdę, będę szukał jeszcze, choćby i do jutra, póki jej nie odzyskam.

— A jak noc przyjdzie! Jakże ty tak sam jeden w lesie zostaniesz? — pytały dzieci.

— A Zosia?—mówił biedny chłopczy-
na ze łzami—ona taka mała, jakże ja mogę ją samą jedną zostawić w lesie? Ona tam musi być okropnie przestraszona, pewnie płacze... Boże mój, Boże!

Dzieci próbowały jeszcze namawiać Antosia, żeby wracał z niemi, nakoniec odeszły, a on został i chodził po lesie, wołając ciągle z całej siły na wszystkie strony:

— Zosiul! Zosiul! odezwij się, gdzie ty?

Ale Zosia się nie odzywała, wieczór tymczasem zapadał i ściemniło się zupełnie. W lesie tak było czarno, że Antoś nie mógł nic dojrzeć o parę kroków przed

sobą, nie myślał jednak odchodzić, tylko wołał raz po raz z płaczem i jękiem:

— Zosiu! Zosiu, odezwij się!

Długo tak chodził, aż wkońcu usłyszał zdaleka jęk słaby; wyteżył słuch i szedł w tę stronę; jęk powtórzył się wyraźniejszy, on znów z całej siły zawołał i z bijącym sercem słuchał, wkońcu z niewymowną radością usłyszał żalсны głosik dziewczynki:

— Antosiu! to ja! gdzie ty, Antosiu?

W jednej chwili Antoś był już przy niej. Zosia leżała pod drzewem, drżąca i splakana; zobaczywszy braciszka, uspokoiła się zaraz, poskoczyła na nóżki i rzuciła mu się na szyję. Wkrótce jednak nowa trwoga ogarnęła ich oboje.

— Jak my teraz po nocy trafimy do domu? — mówił Antoś, lecz po namyśle dodał: — Mnie się zdaje, że trzeba tylko iść ciągle prościuteńko, nie kręcić się na wszystkie strony, to kiedyś z lasu wyjdziemy, a na łące już jakoś trafimy.

Tak też zrobili: szli ciągle prosto, trzymając się za ręce, i wkrótce dostali się na ścieżkę i na pole; stamtąd już widać

było wieś, bo i księżyc pokazał się na niebie. Nie doszli jeszcze do wsi, gdy po drodze spotkali matkę; była bardzo niepokojna, dowiedziała się od dzieci, wracających z lasu, co się stało, i szła sama szukać Zosi i Antosia. Jak się ucieszyła, widząc ich oboje zdrowych i całych, domyślacie się zapewne. Nie łajała już nawet Antosia, ale pochwaliła, że nie chciał w lesie Zosi porzucić i nie wrócił, póki jej nie odszukał.

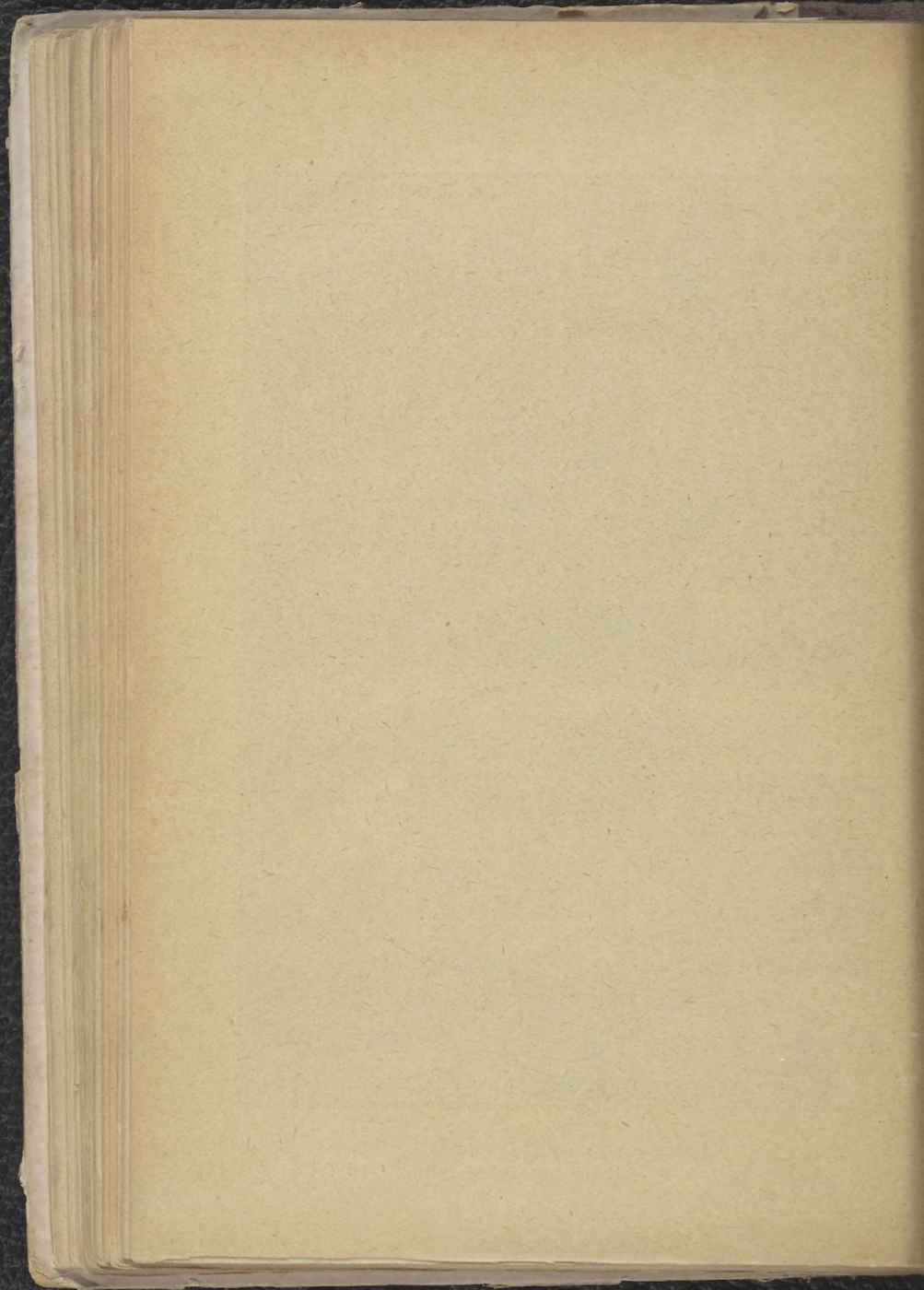
MAŁA MALARKA.

Ojciec małej Feluni był malarzem; malował na płótnie różne śliczne obrazy, a Felunia lubiła niezmiernie siedzieć w pracowni swego tatki i przypatrywać się jego robocie. Tatko pozwalał na to, byle tylko była grzeczna i nic nie dotykała rączkami, ale zabraniał wchodzić do pracowni podczas swojej nieobecności.

Dnia pewnego tatko wyszedł z rana do miasta i długo nie wracał, a mama nie odstępowała od kolebki małego braciszka, który był troszkę słaby. Feluni znudziło się siedzieć samej, choć miała różne zabawki, wysunęła się więc niepostrzeżenie z pokoju i pobiegła do pracowni tatki. bo myślała, że on może już tam jest. Ale tatki nie było jeszcze, więc Felunia chciała powracać, pamiętając, że tatko nieraz powtarzał, aby nigdy nie wchodziła sama do pracowni. A wtem spostrzegła na ziemi fi-



Dziewczynka zbliżyła się, aby ją lepiej obejrzyć, i zobaczyła tuż obok
otwarte pudełko z farbami i pendzle tatki... (str. 195).



gurkę białą, bardzo zabawną; wczoraj jeszcze tej figurki tam nie było. Dziewczynka zbliżyła się, aby ją lepiej obejrzeć, i zobaczyła tuż obok otwarte pudełko z farbami i pendzle tatki.

— Taka nieładna ta figurka—pomyślała sobie — twarz ma taką białą, niepodobną wcale do prawdziwej. Tu właśnie jest różowa farba, pewnie tatuś będzie malował na niej ładne rumieńce. A możebym i ja potrafiła to zrobić?

I Felunia zabrała się do roboty. Co to była za robota, łatwo się domyślić; nietylko figurce się dostało, ale i paluszkom Feluni, i sukience, nawet na podłogę tyle farb się rozchlapało, że tatko aż wykrzyknął z przestachu, gdy wszedł do pracowni i zastał to gospodarstwo swojej córeczki. Gniewał się trochę, ale nie mógł się wstrzymać od śmiechu. Felunia ślicznie tatkę przeprosiła, a że była jeszcze maleńka, więc tatko jej przebaczył i nawet mamy prosił, żeby nie łajała dziewczynki bardzo, bo ona tego drugi raz nie zrobi.

ZŁOTA SZPILKA I CWIECZEK.

Zdarzyło się raz, że piękną, złotą szpilkę położono na stoliku obok prostego, żelaznego świeczka. Obraziła się tem pyszna i zrozumiwała szpilka, i tak mówiła:

Co to za śmiałość, żeby jakiś prostak zbliżał się poufale do takiej, jak ja, osoby! Ale niesłusznie się na niego gniewam: on temu nie winien, że ktoś nierozważny położył go przy mnie, i pewnie jest upokorzony, widząc, jak ja wspaniale wyglądam w porównaniu z nim.

— Bardzo się mylisz, moja piękna pani — odpowiedział świeczek skromnie, ale bez zbytnej uniżoności — znam ją dobrze swoją wartość i jestem przekonany, że ludzie cenią mnie więcej od ciebie.

— Co ty pleciesz! — wykrzyknęła szpilka oburzona — czyż nie wiesz, że złoto jest najkosztowniejszym metalem, a żelazo do

najtańszych się liczy? Za jedną złotą szpilczkę, taką, jak ja, możnaby kupić niezmiernie mnóstwo świeczków żelaznych, podobnych do ciebie.

— Nie przeczę temu wcale — mówił świeczek—ale ja nie mówię o sobie, tylko o metalu, z którego jestem zrobiony, to jest o żelazie. To prawda, że ludzie płacą drogo za różne złote błyskotki, ale gdyby ich kto zapytał, bez czego łatwiej obejść się mogą, okazałoby się dopiero, co jest pożyteczniejsze, czy złoto, czy żelazo?

— Co za zarozumiałość! — zawołała szpilka—a ja ręczę, że moja pani obeszlaby się bez ciebie, a mnie i innych przeslicznych ozdób złotych nie oddałaby za nic w świecie.

— Ciekaw jestem, czy ta twoja pani obeszlaby się bez nożyczek, igieł, scyzoryka? Jeżeli sama jest próżniaczka i nic nie robi, to przecież potrzebuje, ażeby ktoś pokrajał i uszył dla niej suknie. A jakimże sposobem różni rzemieślnicy i rękodzielnicy urządziłiby jej mieszkanie, sprzęty i najrozmaitsze przedmioty, koniecznie po-

trzebne, gdyby nie było na świecie żelaznych narzędzi? Najprzemysłniejsi ludzie nie potrafiliby rąbać drzewa, piłować desek, heblować, świdrować, nie mając żelaznych siekier, pił, świdrów i najrozmaitszych innych narzędzi. Bez złotych ozdób obeszliby się daleko łatwiej.

— Masz ty trochę słuszności, mój świeczku — powiedziała szpilka, znacznie już grzeczniej i spokojniej — złoto na to wszystko nie przydałoby się wcale, bo najpierw niema go tyle na świecie, ażeby wystarczyło go na tak liczne potrzeby, a potem nie jest dość twarde i wytrzymałe. Czy wiesz, że ja nawet sama, choć tak prześlicznie błyszczę, nie jestem z czystego złota zrobiona, bo pogięłabym się i połamala; więc dla nadania mi trwałości, dodano do złota odrobinę miedzi i wtenczas dopiero mnie zrobiono z tego.

— Co? Tej zwyczajnej miedzi, z której grosze robią i rondle? — zapytał świeczek zdziwiony.

— Tak, nie umiem kłamać, i choć mi wstyd trochę, musiałam ci się przyznać do

tego. Ale co tam! Wszak nawet i dukaty nie są z czystego złota, i do nich także dla trwałości dodają troszeczkę miedzi.

— A widzisz, widzisz, piękna szpilczko—mówił ćwieczek—sama przyznajesz, że nie potrafiłabyś żelaza zastąpić, i że źle bardzo byłoby ludziom na świecie, gdyby go jakim przypadkiem zabrakło. Wielkie to szczęście, że tyle jest wszędzie kopalń, gdzie wykopują żelazo.

— Tak, tak, jestem szczerą — rzekła szpilka—ale przyznaj i ty, mój ćwieczku, że żelazo nie potrafiłoby znów zastąpić złota.

— A to dlaczego?—odezwał się ćwieczek żywo — czy to nie możnaby z żelaza wyrabiać szpilek, kolczyków, pierścionków? Wszystkie te ozdoby mogłyby być przecież z pięknie wypolerowanej stali i wyglądałyby bardzo ładnie. To jest tylko kaprys ludzki, że wolą do tego używać metalu rzadszego i kosztowniejszego. Bo powiedz mi, czem twój żółty kolor jest piękniejszy od stalowego?

— Oho! Teraz to już ty nie masz wcale słuszności, mój ćwieczku—odrzekła szpilka

z pewnym odcieniem dumy — nie idzie tu już o kolor, ale spojrzysz-no tylko, co to się zrobiło na twoim koniuszku?

— Ej, to nic — mówił świeczek zakłopotany — położyła mnie służąca na oknie, gdzie woda była rozlana, zamokłem i troszeczkę zardzewiałem. Gdyby tylko chciała mnie odczyścić, oliwą posmarować, zaraz by to przeszło.

— Dobry sobie jesteś! — rzekła szpilka — nim ona cię odczyści, rdza cię tak podgryzie, że będziesz znacznie krótszy. Ładnieby wyglądało, gdyby szpilka, pierścionek, łańcuszek zardzewiały! Gdyby te ozdoby były stalowe, jak ty powiadasz, trzebaby się ciągle wystrzegać, ażeby woda się do nich nie dostała, a i toby niewiele pomogło: od samego powietrza prędkoby blask straciły.

— Ta nieznośna rdza to plaga prawdziwa — mówił świeczek ze smutkiem. — Powiedz mi, piękna szpileczko, jakim to sposobem się dzieje, że ty nigdy nie rdzewiejesz?

— Ba, to już taka właściwość złota — odrzekła — a także i srebra, dlatego też te

metale nazywają szlachetnemi. Można każdą rzecz złotą lub srebrną zanurzyć w wodzie, w ziemi zakopać, a także i w ogień wrzucić: nic jej to nie zaszkodzi, w ogniu nawet odczyści się bardzo pięknie. Pomyśl-no, biedny ty mój świeczku, co by się z tobą stało, gdybyś tak jakim przypadkiem wpadł w ogień.

— No, przecież nie spaliłbym się, jak kołek drewniany — mówił świeczek — tyłkobyem poczerwieniał okropnie, ale potem poczerniałbym znowu, byle mnie tylko prędko z ognia wyjęto.

— A gdyby cię nieprędko wyjęto i smażono w tym ogniu bardzo długo? — pytała szpilka.

— Ej, tegobyem sobie nie życzył, bo schudłbym okropnie w tym upale.

— A wkońcu spaliłbyś się doszczętu — rzekła szpilka. — Już daj pokój, wiem ja to dobrze: żelazo w silnym ogniu pali się tak zupełnie, jak drzewo, nic z niego nie zostaje; ja o siebie jestem zupełnie spokojna, mogłabym choćby i najdłużej w ogniu leżeć, nicby mi się nie stało. Za-

pewne, że i złoto się topi, jak wszystko na świecie, ale jakiego to gorąca na to potrzebował! W zwyczajnym ogniu jabym się tylko ładnie odczyściła, a tybyś się kurczył, biedaku, coraz więcej, wkońcu nie zostałoby z ciebie ani śladu.

— Wiesz ty co, moja szpileczko — mówił ćwieczek — nie sprzeczejmy się darmo, bo oboje podobno mamy słuszność. Ty sama musiałaś przyznać, że żelazo jest daleko potrzebniejsze od złota, że gdyby nagle zabrakło na świecie żelaza, toby sobie ludzie rady nie dali, a bez złota obeszliby się z łatwością. Ja znów oddaję ci sprawiedliwość: żelazo naprawdę nie mogłoby zastąpić ani złota, ani srebra, bo te metale mają swoje wielkie przymioty. Więc ty mną nie gardź dlatego, że nie tak pięknie wyglądam, jak ty, a ja chętnie ci ustąpię pierwszeństwa wszędzie, gdzie tylko idzie o wytworne ozdoby i piękność powierzchowną. Przypomnij sobie, w jakiej przykładnej zgodzie złoto z żelazem pozostaje w zegarkach naprzykład. Każdy zegarek jest zwierzchu złoty lub srebrny, żeby

nie zardzewiał, a we środku sprężynki ma stalowe, bo złote byłyby miękkie, nie-trwałe.

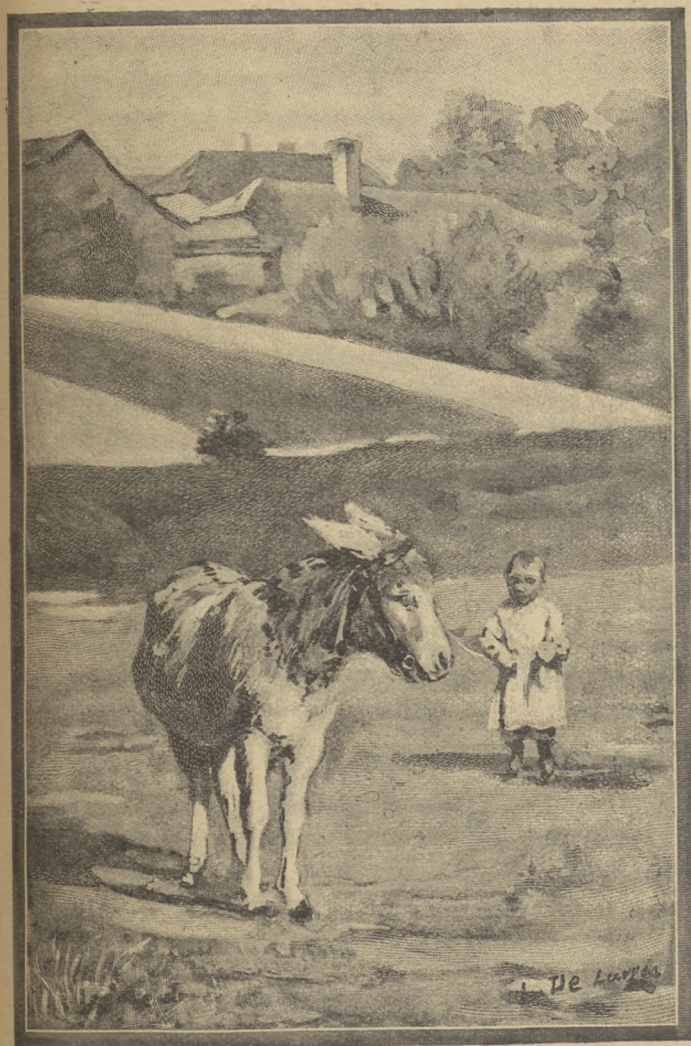
— Dobrze mówisz — zakończyła szpilka — masz ty swoje wielkie zalety, ale mam i ja swoje. Nie gardźmy więc sobą wzajemnie i starajmy się być użyteczni na świecie, każde po swojemu.

PODARUNEK DZIADUNIA.

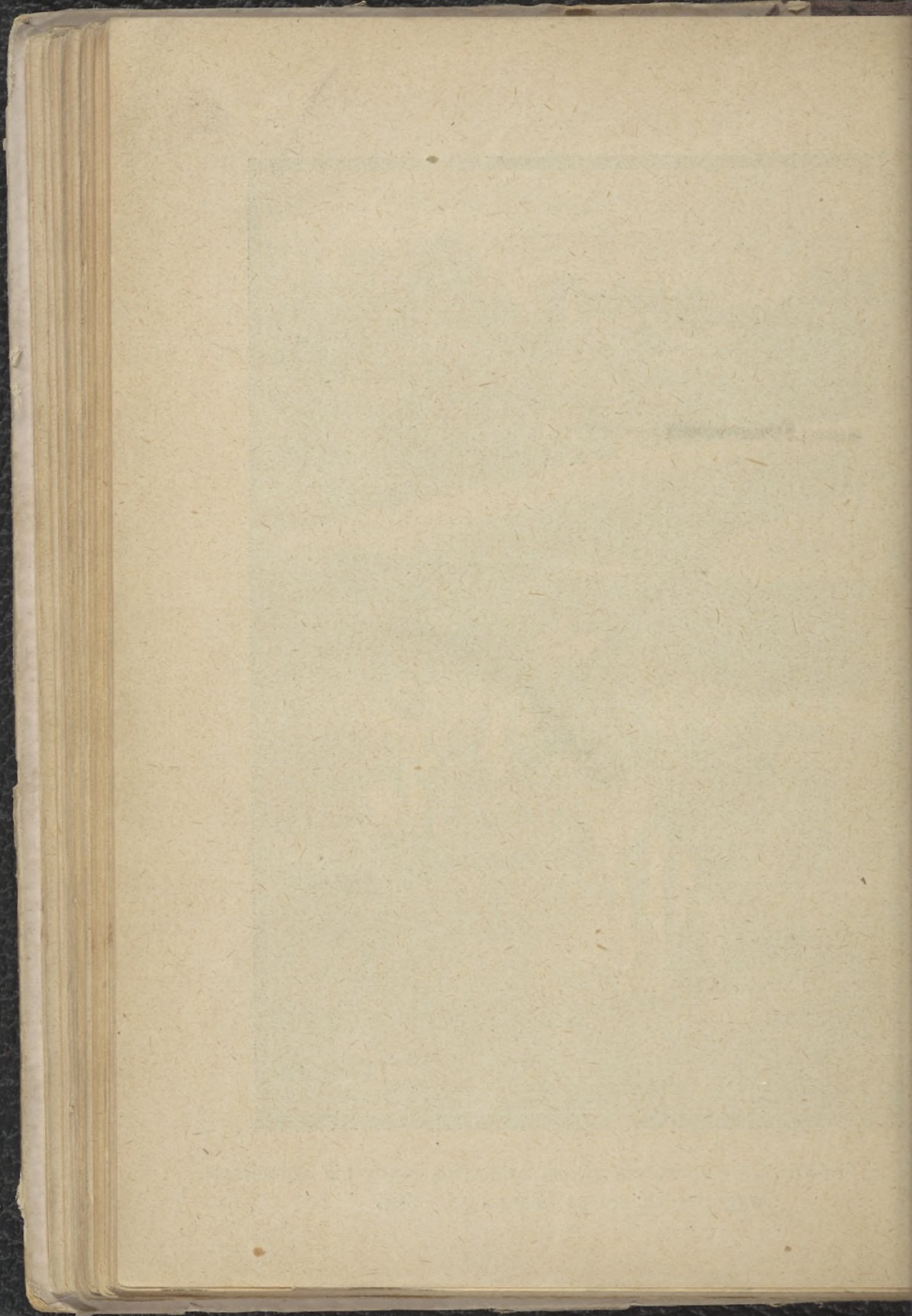
Ignasъ pojechał raz z mamą na całe lato na wieś do dziadunia; wielka to była radość dla chłopczyka, gdy dziadunio zaczął go oprowadzać po całym gospodarstwie, pozwolił oglądać zbliiska koniki, krówki, owieczki. Ale ze wszystkich zwierzątek najwięcej podobał się Ignasiowi śliczny mały osiołek; nie mógł się nim nacieszyć, głaskał go, brał za uszy, pyszczek, nareszcie objął za szyję, pieścił, całował i mówił do niego tak zupełnie, jakgdyby osiołek mógł to zrozumieć. A dziadunio powiedział z uśmiechem:

— Już kiedy tak polubiłeś tego osiołka, mój Ignasiu, to ci go daruję.

— Co? — zawołał chłopczyk uszczęśliwiony — naprawdę mi dziadunio daruje te-



...Ignas troskliwie się opiekował swoim osiołkiem, nigdy nie zapomniał wyprowadzić go na paszę... (str. 205).



go ślicznego osiołeczka? I on będzie teraz mój? mój własny?

— Tak, będzie twój własny, ale pod jednym warunkiem, oto żebyś sam zawsze pamiętał o jego potrzebach. Osiołek nocuje w stajni, trzeba więc rano go wyprowadzić, uwiązać na sznureczku na łączce, żeby się mógł paść na trawce, trzeba mu potem pić dać wporę i wieczorem znowu odprowadzić do stajni. Jak sądzisz, czy to nie będzie za duży kłopot dla ciebie myśleć o tem wszystkim? Bo, gdybyś kiedy zapomniał o osiołku, mógłby zachorować, a nawet i zginąć.

— O, nie, dziaduniu, ja o nim nigdy nie zapomnę! — zawołał Ignas. — Jak tylko się przebudzę rano, zaraz pobiegnę, zaprowadzę go na paszę, spytam się stajennego, kiedy go potrzeba napoić, i pójdę z nim do cebrzyka, gdzie jest woda.

I rzeczywiście Ignas troskliwie się opiekował swoim osiołkiem, nigdy nie zapomniał wyprowadzić go na paszę, napoić wporę, tylko jeżeli deszcz padał i mama nie pozwalała wychodzić z pokoju, wyre-

czał go w tem chłopak stajenny. Osiołek wyrósł, był zdrow i silny, a gdy Ignas w roku następnym przyjechał do dziadunia na lato, mógł już jeździć na swoim osiołku, zawsze jednak i potem sam o wszystkich jego potrzebach pamiętał.

DZIWNE ISKIERKI.

Adaś i Zosia pierwszy raz w życiu przyjechali ze wsi do Warszawy, do ciotki. Ciotka obiecała ich oprowadzić po mieście i pokazać różne ciekawe rzeczy, ale pierwszego dnia musieli siedzieć w domu, bo już było późno i, nim obiad się skończył, ściemniło się na dworze. Starsi rozmawiali, a dzieci usiadły przy oknie i patrzyły na ulicę. Bawiło je to niezmiernie, że tyle ludzi snuło się ciągle po chodnikach, a po bruku toczyły się nieustannie powozy.

— Ach! Jaka prześliczna iskierka wyskoczyła z pod nóg koniowi! — zawołał Adaś — czy widziałaś Zosiu? Co to może znaczyć? O, i druga, a taka błyszcząca, jak ogień prawdziwy; co to takiego?

— To prawda, dziwne rzeczy tu w tej Warszawie się dzieją — mówiła Zosia. —

U nas na wsi nigdy nie widziałam nic podobnego. Skąd te iskierki się biorą? Czy z bruku tak wyskakują? Ale dlaczegoż tylko wtedy, gdy koniki biegną? Patrz, patrz, Adasiu, znowu taka śliczna wyskoczyła, jak błyskawiczka malutka!

I dzieci pobiegły do rodziców i do cici, opowiadając, co widziały i zapytując, co to za iskierki. Mama powiedziała, że im to później wytłumaczy, a teraz nie trzeba się naprzykrzać starszym, bo oni w tej chwili nie mają czasu dziećmi się zajmować. Dzieci były rozsądne i dobrze wychowane, zaraz więc odeszły i znów patrzyły przez okno. Wszystko je zajmowało, ale najwięcej owe zabawne iskierki, wyskakujące raz po raz z pod kopyt końskich. Mama nie zapomniała o obietnicy i przyszła później do dzieci do okna, żeby im wytłumaczyć, co to znaczy.

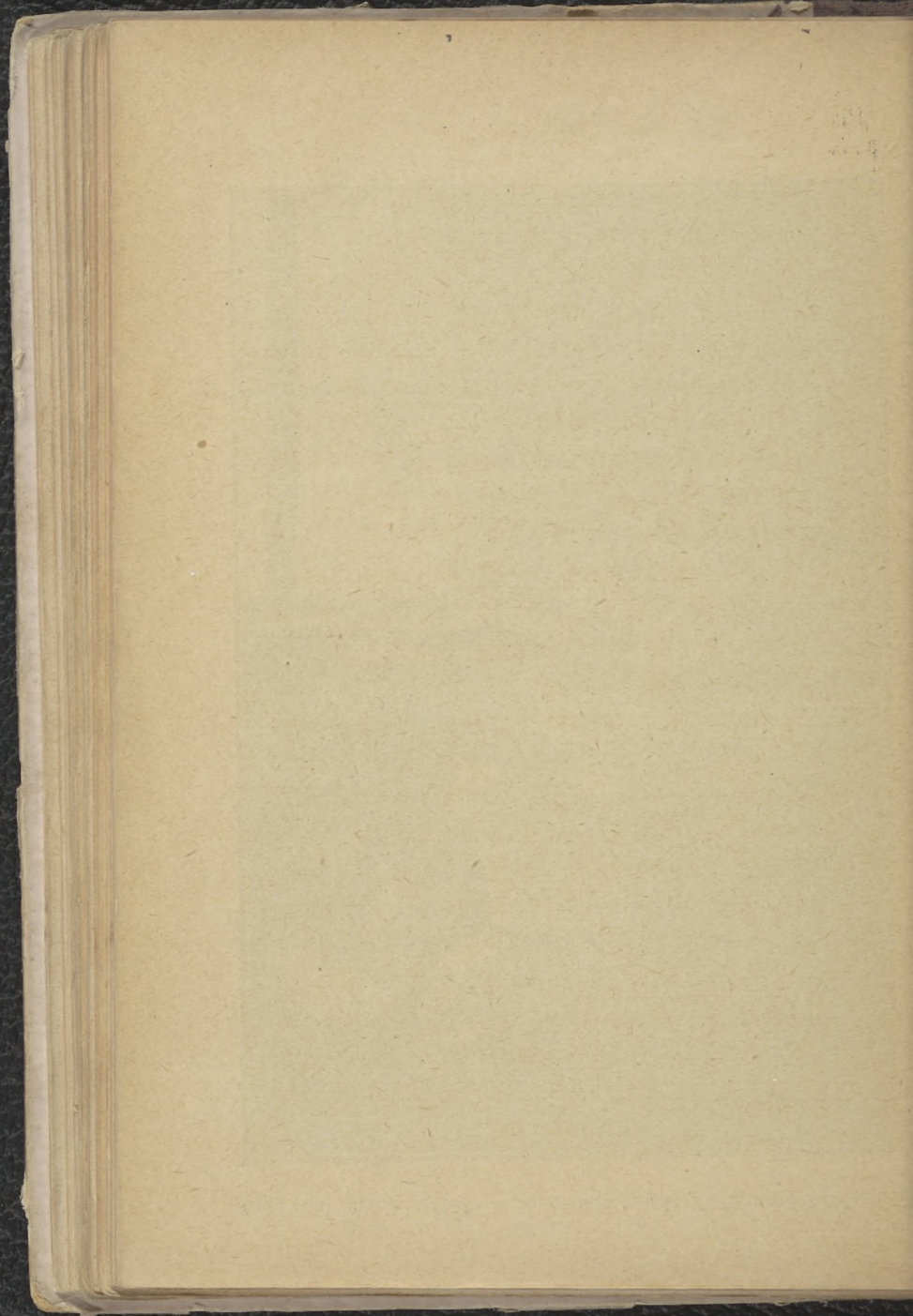
— Czy to prawdziwy ogień, mamuniu? — spytała Zosia.

— Najprawdziwszy — odrzekła mama.

— A skądże on się tam bierze? — pytał znowu Adaś.



— Czy to prawdziwy ogień, mamusiu? — spytała Zosia. (str. 208).



— Wszak znasz dobrze zapałki, a nigdy ci nie przyszło na myśl zapytać, skąd się w nich ogień bierze.

— No, bo zapałkę się pociera, i wtenczas ognik z niej wyskakuje—odrzekł Adaś.

— To prawda, mamusiu — mówiła Zosia — i to także jest dziwne i ciekawe, skąd w tej zapałce ogień się bierze, ale nigdy mi jakoś nie przyszło do głowy o to zapytać.

— Bo na zapałki ciągle patrzysz — rzekła mama — już się do tego przyzwyczaiłeś; iskierki, wyskakujące z bruku, zobaczyłeś po raz pierwszy, i dlatego cię zaciekawily. Dawniej, gdy jeszcze zapałek nie było, używano do zapalania ognia krzesiwa, którego wy wcale nie znacie, bo teraz rzadko już kiedy służy do tego. Ażebyście zrozumieli, skąd się te iskierki biorą, które z bruku wyskakują, muszę wprzód powiedzieć, jak wygląda krzesiwo. Jest to poprostu kawałek stali i bryłka krzemienia, kamyczka bardzo twardego. Chcąc ogień zapalić, trzeba ową stalą uderzać silnie i szybko o krzemień, a natych-

miast ukazują się iskierki takie same, jak te, które wyskakują z bruku. Dość położyć wówczas w tem miejscu kawałeczek hubki — tak się nazywa rodzaj grzyba, który się bardzo łatwo zapala — ażeby z iskierek rozniecić ogień. Panowie dawniej zawsze takie krzesiwa nosili w kieszeni do zapalania fajki, jak teraz zapalniczki noszą.

— Ale, moja mamó, jakimże sposobem z takiego kamyczka może wyskoczyć ogień? — pytał Adaś.

— Trzeba wiedzieć — mówiła mama — że od tarcia każda rzecz się rozgrzewa. Toż nawet, gdy nam zimno w ręce, zaczynamy je pocierać jedną o drugą, a zaraz się troszkę rozgrzewają. Dzicy ludzie trą mocno dwa kawałki drzewa i tym sposobem rozniecają ogień. Krzesiwem to samo robi się o wiele łatwiej; twarde kamyczek, uderzając o stal, rozgrzewa ją w jednej chwili tak gwałtownie, że w miejscu uderzeniem odrobinka żelaza odrywa się rozpalona i ogniem płonie. Stąd właśnie owe iskierki, drobniutki kawałeczki żelaza, które wyskakują i palą się w powietrzu.

— A na ulicy, mamuniu, na bruku, co się robi? — pytały dzieci.

— W bruku jest dużo twardych kamyków, krzemieni, a koniki mają podkowy żelazne. Gdy konik uderzy podkową o krzemień w bruku, to tak zupełnie, jakgdyby kto krzesał ogień krzesiwem. Od uderzenia podkowa się rozpala, odrobinki żelaza zapalają się i ulatują w powietrze w postaci iskierek.

— A teraz niech mamunia jeszcze opowie — mówiła Zosia — co to w zapałkach tak się zapala odrazu, jak tylko je potrzeć?

— Na łebkach zapałek jest fosfor, a ten fosfor ma taką własność, że za najlżejszem potarciem zaraz się zapala. Żelazo trzeba silnie uderzyć o kamień, ażeby z niego iskierki wyskoczyły, ale fosfor dosyć potrzeć troszeczkę o chropowaty jaki przedmiot, a zaraz się rozgrzewa i płonie. Dlatego też takim fosforem pokrywają koniuszki suchych patyczków drewnianych, i to są zapałki. Wielka to wygodna te zapałki, lecz tylko dla ludzi rozsądnych, którzy się z niemi obchodzić umieją. Dzieci

nie powinny nigdy zapalek dotykać, bo właśnie dlatego, że się tak łatwo zapalają za potarciem, są dla nich bardzo niebezpieczne. Dzieci przez nieostrożne obchodzenie się z zapalkami mogą i same się oparzyć i pożar nawet wzniecić. Powinniście także wiedzieć o tem, że fosfor jest straszną trucizną i nigdy, broń Boże, do ust nie brać zapalek.

PSZCZÓŁKA I MOTYLEK.

Ach! ten próżniak, patrzeć na niego nie mogę—tak brzęczała pszczołka, przelatując obok ładnego motylka — cały dzień siedzi sobie na kwiatkach lub buja w powietrzu dla zabawki, nic nie robi, nie pamięta, żeby sobie i dzieciom przygotować jakieś zapasy na zimę.

— Moja pszczołko—odpowiedział motylek łagodnie — dobrze to zapewne, że jesteś pracowita, ale nie bądź taka dumna i nie pogardzaj wszystkimi, którzy ciebie nie naśladują. Poco ja mam zbierać zapasy? Tu tyle kwiateczków na łące, że starczy zawsze dla mnie słodkiego soku. Zresztą tak mi jakoś słabo od wczoraj; odkąd jajka złożyłem tam na listeczku, straciłem zupełnie apetyt.

— O, próżniak, próżniak, próżniak! — zabrzęczała jeszcze pszczołka i odleciała.

Na drugi dzień przelatywała znowu przez tę samą łączkę i zobaczyła znajomego motyla, chciała więc zaraz zawołać, tak jak wczoraj: „Próżniak, próżniak!“ — gdy spostrzegła, że motylek miał skrzydełka opuszczone, wietrzyk powiewał niemi na wszystkie strony; pszczołka przyfrunęła bliżej, spojrzała: biedny motyl już nie żył.

— Co za nieszczęście! — mówiła pszczołka, która miała dobre serce. — Żałuję teraz, żem wczoraj tak ostro do niego przemawiała. On był chory, osłabiony, a ja go do pracy napędzałam! Ale cóż teraz z biednymi sierotami się stanie? Mówił wczoraj ten motylek, że jajka złożył na listeczku.

— Bądź acani spokojna o te dzieci — odezwała się liszka, pełzająca tuż obok na zielonym krzaczku — ja także jestem dzieckiem motylków, rodziców swoich nie pamiętam wcale, bo pomarli, nim ja z jajeczka się wykłulałam. Kochana mateczka wiedziała jednak zapewne, że te listeczki zielone będą mi smakowały, bo złożyła jajka na tym krzaku. Bardzo mi tu dobrze, nie zginę z pewnością z głodu, a kiedyś

przemienię się w skrzydlatego motylka i fruwać sobie będę, i sok z kwiateczków spijać. Ach! Żebyż to prędzej, bo mi już dokuczyło tak pełzać! Musiał i tamten motylek obmyślić dobre siedlisko dla swoich dzieci.

— Skąd on jednak mógł wiedzieć, co im będzie smakowało, skoro sam tylko sok z kwiatów wypijał? — mówiła pszczołka. — Chyba tu już Opatrzność nad tem czuwała... Ale widzę z tego wszystkiego, żem ja miała trochę słuszności: ten motylek był próżniak; gdy raz dla dzieci wynalazł gotowe pożywienie, nic już sam potem nie robił, fruwał sobie tylko, bawił się... co tu wiele mówić? próżnował i koniec! Opatrzność jest miłosierna, lecz także i sprawiedliwa: motylek zrobił już na świecie wszystko, co do niego należało, więcej nic nie umiał i dlatego to pewnie musiał biedaczek umierać. O tak, tak, kto nie jest użyteczny, ten niewart żyć, szkoda dla niego i tej odrobiny soku z kwiatów!

I pszczołka, brzęcząc, pofrunęła dalej do swojej roboty.

PRZYGODY RODZINY PUSZYKICKICH.

I.

Pani Puszykicka była to wiewiórka już niemłoda, znana i szanowana w całym lesie. Wychowała troskliwie niemało synów i córek; wszystko to mieszkało teraz osobno, w gniazdach własnych, synowie mieli żony, a córki mężów. Ród Puszykickich tak się rozmnożył w lesie, że prawie wszystkie młode wiewióreczki nazywały starszą panią Puszykicką to babunią, to ciocią.

Każda młoda mateczka przychodziła do niej po radę, jak ma dziatwę wychowywać, a ona tyle miała doświadczenia i roztropności, że jak poradziła, to pewnie dobrze. Pan Puszykicki nie zasługiwał na taki szacunek. Chociaż niepierwszej już młodości, był lekkomyślny, przez cały

dzień skakał po lesie, zajadał orzechy i inne przysmaki, a rzadko kiedy pamiętał zanieść żonie jaki zapas żywności. Ona sama musiała się zajmować zaopatrzeniem spiżarni na zimę, pozatykaniem szpar w dziupli, gdzie rodzina mieszkała podczas mrozów, wszystko było na jej głowie.

Ale poczciwa pani Puszykicka nigdy się nie skarżyła, wzdychała tylko pocihutku i sama pracowała, ile mogła. Jedyłą jej pociechą były dzieci; starsze wprawdzie gospodarowały po swojemu, lecz młodsze zawsze dłużej mieszkały przy matce i pomagały jej w domowych zajęciach.

Teraz właśnie dochowała się dorodnej córeczki, dała jej imię Pufcia i przyuczyła, zwyczajnie jak dobra matka, do pracy i porządku. Pufcia jednak widocznie w ojca się wdała: leniwa była do roboty, lubiła tylko wyskakiwać po gałęziach i odbiegać od domu. Matka ją przestrzegała, że to wcale nieładnie dla wiewióreczki dobrze wychowanej, bo chociaż czasem i pobawić się i poskakać można, to zawsze tylko po skończeniu ważniejszych zajęć.

Na nieszczęście pan Puszykicki, zamiast dodać od siebie jakie słówko, gdy słyszał, że żona nauki te dawała Pufci, zawsze jej jeszcze przeszkadzał i najgorsze rady dawał córeczce. A że młodzież chętniej lgnie do złego niż do dobrego, więc Pufcia wolała słuchać ojca aniżeli matki.

Dnia pewnego w piękną pogodę pani Puszykicka zabrała się gorliwie do oczyszczania i uprzątnięcia mieszkania, do składowania zapasów żywności w spiżarni, bo jako przezorna gospodyni wiedziała, że po pogodzie przyjdzie zapewne ślota, a wówczas miło będzie siedzieć sobie w zacisznem schronieniu i gryźć orzeszki. Pufcia pomagała matce, a wtem znienacka nadszedł pan Puszykicki, jak zwykle w podskokach wesołych, wymachując ogonkiem.

— Chce się to wam w taką śliczną porę nad robotą się męczyć! — zawołał. — Chodźcie lepiej ze mną do dworskiego ogrodu. Poskaczemy sobie po ładnych, owocowych drzewach, zobaczymy coś nowego i różnych przysmaków się najemy.

— Nie lubię ja się włóczyć po ludzkich ogrodach — odpowiedziała rozsądna pani Puszykicka; ludzie nas prześladują, dzieci zwłaszcza największą w tem mają przyjemność, ażeby nieszczęśliwe stworzenie, czyto wiewiórkę, czy ptaka, schwycić i męczyć w więzieniu. Najlepiej unikać spotkania z temi złośliwemi istotami. Radzę ci nie iść i Pufci nie namawiaj do tego. Lepiejbyś nam trochę pomógł; tyle dziś mamy roboty!

— Oho! jeszcze czego! — wykrzyknął pan Puszykicki i jednym susem przeskoczył na drugie drzewo — chodź ze mną, Pufciu! zobaczysz, jak się wybornie zabawimy; niech tam matka sobie zrzędzi, nie warto na to zważać.

Pufcia radośnie wywinęła ogonkiem i takiego susa dała, że w mgnieniu oka była już obok ojca i dalej za nim pomknęła. Cóż miała robić biedna pani Puszykicka? Westchnęła zcicha, jak zwykle, i dalej sama pracowała. Gorzkie myśli snuły się jej po głowie. Wszystkie dzieci wychowały się dobrze, brały przykład z matki,

Pufcia jedna podobniuteńka była do ojca i taka sama lekkomyślna, leniwa; bardzo niespokojna była poczciwa pani Puszykicka o jej przyszłość. Bo czyż może być dobra żona i matka z takiej wiewiórki, która porzuca domowe, gospodarskie zajęcia, ażeby się zakradać do cudzego ogrodu?

II.

Minęło południe, niedaleko już było do zachodu słońca, pani Puszykicka ukończyła oddawna swoje zajęcia i niecierpliwie wyglądała powrotu męża i Pufci. Zaczęła się niepokoić coraz więcej; pan Puszykicki, coprawda nieraz i po dni kilka do domu nie wracał, gdy się rozhulał, ale Pufcia powinna była wrócić wcześniej.

Trapiona obawą śmiertelną, pani Puszykicka nie mogła usiedzieć w domu i wyszła naprzeciw Pufci. Wioska z owym ogrodem była dość daleko od lasu, za strumieniem, płynącym przez kwiecistą łąkę. Wiewiórki umieją dobrze pływać, strumień nie był szeroki, pani Puszykicka dostała

się na drugą stronę z łatwością i biegła dalej, rozglądając się dokoła, czy nie zobaczy powracających wędrowców. Długo wypatrywała nadaremnie, wkońcu z przestachem spostrzegła zdaleka Pufcię, wlokącą się powoli, kulejącą, samą, bez ojca.

— Co ci jest, moje dziecko? — zawołała matka, w kilku susach przybiegłszy do niej — gdzie ojciec? Co się wam stało?

— Ach, mameczko, nieszczęście, straszne nieszczęście! — zawołała Pufcia: — ojciec dostał się do niewoli, a ja ledwo zdołałam umknąć; powracam okaleczona, jak widzisz, ledwo się dowlokłam.

Pani Puszykicka załamała łapki i po chwili zaczęła rozpytywać, jakim sposobem stał się tak okropny wypadek.

— Skakaliśmy sobie najspokojniej po drzewach z ojczulkiem — mówiła Pufcia, ochłonawszy nieco — zrywaliśmy owoce, ani pomyśleliśmy o niebezpieczeństwie, gdy nagle nadbiegła z krzykiem szalonym gromada chłopaków. „Wiewiórki, wiewiórki!” wołali wniebogłose, jakgdyby nigdy w życiu wiewiórki nie widzieli, i nuż go-

nić za nami. Dwóch tych drapieżników wdrapało się na drzewa, a doskonale hultaje po gałęziach się czepiali, i wkrótce jeden z nich z dzikim okrzykiem triumfu pochwycił nieszczęśliwego ojczulka za ogon. Mnie dopędzić nie mogli, więc jeden rzucał ze złości we mnie kamykiem i nogą mi okaleczył. Tłumiąc ból straszliwy, ukryłam się jednak wśród gęstych liści tak, że mnie z oczu stracili.

— A ojciec? Cóż ojciec — pytała pani Puszykicka.

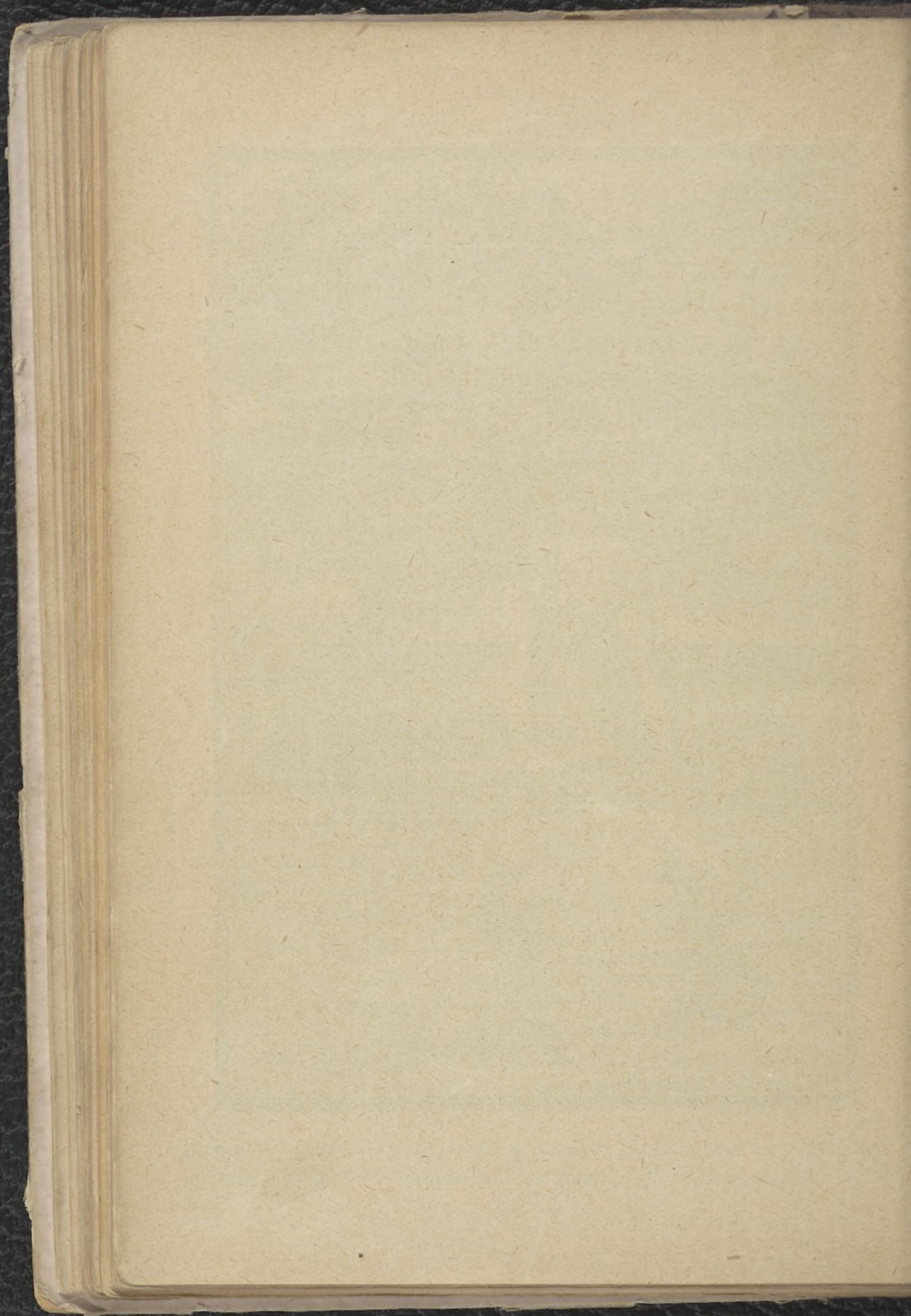
— Ojca zabrali i wśród śpiewów i śmiechów odnieśli do domu, ja zaś, zmęczona okropnie tą gonitwą, od przytomności prawie odchodziłam i długo musiałam wypoczywać, nim wreszcie zdołałam uciec z tego ogrodu.

— Chodźmyż jak najprędzej do domu — rzekła matka, wzdychając ciężko.

Ale pokazało się, że biedna, okaleczona Pufcia żadnym sposobem nie mogła pływać, a tu strumyk koniecznie przebyć było potrzeba. Roztropna pani Puszykicka nie straciła głowy, upatrzyła na brzegu kłodę drewnianą wydrążoną, wszelkich sił



...upatrzyła na brzegu kłodę drewnianą wydrążoną, wszelkich sił dokładając, spuściła ją na wodę i pomogła Pufci usadowić się na tym promie.
(str. 222).



dokładając, spuściła ją na wodę i pomogła Pufci usadowić się na tym promie. Sama zaś weszła w wodę i popychała kłodę ku przeciwnemu brzegowi.

Tym sposobem szczęśliwie przebyły obie strumień, dostały się do domu, Pufcia odpoczęła i usnęła na wygodnej pościółce. Ale pani Puszykicka, srodze strapiona nieszczęściem męża, przez całą noc usnąć nie mogła. Miała dobre serce, zapomniała więc zupełnie o jego wadach, o przykrościach, które jej wyrządzał, szczerze tylko ubolewała, że nie mogła mu przynieść ratunku.

Nieszczęśliwy pan Puszykicki dotychczas pokutuje za swoją lekkomyślność; lubił skakać po gałęziach w lesie, teraz musi skakać nieborak w klatce po drabince, dla zabawy dzieci. Ze skrucą przypomina sobie, jak rozsądna żona namawiała go, aby nie szedł na tę nieszczęsną wycieczkę, a natomiast pomógł jej przy robocie.

Pufcia zupełnie się poprawiła, słucha we wszystkim matki, stała się pracowita, porządna, jest wzorem młodych wiewiórek.

ANTOŚ I WUJASZEK.

Antoś mieszkał na wsi z rodzicami; miał on dopiero lat siedem, ale bardzo był na swój wiek roztropny i lubił towarzystwo starszych. Bardzo się też ucieszył, gdy do rodziców jego przyjechał na kilka tygodni letnich wujaszek, brat mamy. Antoś rzadko kiedy przedtem widywał tego wujaszka, ale teraz prędko się z nim zapoznał i zaprzyjaźnił. Oprowadzał go po domu, po ogrodzie, po całym gospodarstwie, wszystko tłumaczył, opowiadał, a wujaszka każda rzecz zajmowała, bo mieszkał zwykle w mieście i nie znał wcale wsi. Dnia pewnego poszł obaj do stajni, i Antoś pokazywał wujaszekowi konie powozowe, wierzchowe i młode źrebaki. Prześlizgnięty koń siwy, wierzchowiec ojca, podobał

się szczególnie wujaszкови. Antoś prosił stajennego Franciszka, ażeby go wyprowadził na podwórze, bo w stajni trudno było go dobrze obejrzeć. Koń był dość żywy, trochę nawet narowisty, zaczął więc parskać, łbem wywijać i podskakiwać, gdy Franciszek wyprowadził go ze stajni; Antoś jednak wcale się nie bał i pobiegł bliźuteńko do jednego konika, chciał go po grzbiecie pogłaskać. Ale wujaszek chwycił chłopczyka za rękę i gwałtem odciągnął, a sam zdaleka tylko patrzył na konia, nie zbliżając się do niego.

Niech wujaszek będzie spokojny — mówił Antoś — on mnie nic nie robi, głaskałem go nieraz przy tacie, nawet mnie raz tatko posadził przy sobie na siodle, i cały dziedziniec z nim objechałem.

— Przy tacie to co innego — odpowiedział wujaszek — ja z końmi nie umiem się obchodzić i sam się nie zbliżę do niego, i tobie nie pozwolę.

— Mógłby kto pomyśleć, że wujaszek boi się koni — rzekł Antoś nawpół żartem i spojrzał przenikliwie na wujaszka.

— Nie boję się spokojnych koni, za przeżonych do powozu — powiedział wujaszek — ale takich narowistych nigdy nie widziałem zbliska; pocóż się mam narażać bez potrzeby?

Antoś patrzył na wujaszka ze zdziwieniem, nic już nie mówił, ale gdy powrócili do domu, a wujaszek odszedł do swego pokoju, chłopczyk pobiegł do mamy i szepnął jej do ucha:

— Tchórz!

— Kto taki? — zapytała mama.

— Ten wujaszek, mamuniu, taki tchórz!..

I Antoś zaczął opowiadać zdarzenie z koniem. Mama uśmiechnęła się, wzdusiła ramionami i powiedziała:

— Czyż zaraz ma być tchórzem dlatego, że nie chciał się zbliżyć do narowistego konia? Wujaszek mieszka w mieście, swoich koni nie ma i obchodzić się z nimi nie umie. Gdyby się przyzwyczaił, pewnieby się nie obawiał. Wdzięczna mu jestem bardzo, że i tobie nie pozwolił zbliżyć się do tego konia, bo nie jest wcale tchórzostwem unikać niebezpieczeństwa; bardzo słusznie

wujaszek powiedział, że bez potrzeby nikt się narażać nie powinien.

Ale Antoś pokręcił główką: słowa mamy niebardzo jakoś trafiły mu do przekonania: dla wujaszka był zawsze równie serdeczny, ale przykro mu było, że się okazał takim tchórzem, jak on mówił.

Dnia następnego przed wieczorem wszyscy poszli na przechadzkę do pobliskiego lasku; gdy powracali przez wieś, usłyszeli nagle jakieś krzyki, a po chwili rozróżnili wyraźnie wołanie: „Gore! gore!”

— O, co za nieszczęście! — rzekł ojciec — ludzie jeszcze z pola nie powrócili, nie będzie komu ratować. Trzeba nam pobic jak najprędzej i dowiedzieć się, co się pali. Hej, Wicku! — zawołał na chłopaka, który przebiegał obok nich — gdzie to jest pożar?

— Chata Wojciechowej wdowy pali się, proszę jaśnie pana — odrzekł chłopak i pobiegł dalej.

— Biedna Wojciechowa! — zawołał ojciec — pewnie w polu pracuje, a dziecko zostawiła w chacie; żeby tylko, broń Boże, nie stało się mu co złego!

— Ależ śpieszmy tam, nie traćmy czasu — przerwał wujaszek i pobiegł naprzód w stronę, gdzie widać było już wyraźnie kłęby dymu i płomień, buchające nad dachem niskiej chatki. Ojciec śpiesznie za nim podążył, a mama kazała dzieciom iść przy sobie i na krok się nie oddalać. Gdy przeszli parę ulic, mama nie chciała się zbliżyć więcej do pożaru, zdaleka tylko patrzyła razem z dziećmi, a widać było wszystko, jak na dłoni. Koło płonącej chaty uwijało się kilku ludzi za ledwie, bo cała wieś była w polu, ogień szybko ogarnął cały dach, słomą pokryty, snopki płonące spadały na ziemię, rozsypując iskry dokoła. Nikt nawet nie próbował ratować, bo to było niepodobieństwem.

Antoś widział doskonale wujaszka, jak przybiegł na miejsce pożaru, jak mówił żywo do ludzi, co tam stali, pokazując płonąca chatę, a potem ujrzał z podziwieniem ogromnym, że wujaszek uderzył silnie pięścią w drzwi zamknięte, a gdy się nagle rozwarły, wskoczył do środka chaty i zniknął.

— O mój Boże!—zawołała mama przeżona—poco on tam poszedł? Chata już cała w płomieniach, jeszcze się broń Boże zawalił

Wtem pałaca się belka spadła z łoskotem przed samymi drzwiami, które się także zajęły jak łuczywo. Ogromne kłęby czarnego dymu i płomienie czerwone podnosiły się od progu chaty aż powyżej dachu. Mama krzyknęła i biegła nieprzytomnie prawie, a dzieci, płacząc, biegły za nią. Po chwili stanęli o kilka kroków od pożaru, i Antoś zobaczył w oknie pałacej się chaty wujaszka. Trzymał on na ręku syna Wojciechowej, o którym wszyscy zapomnieli. Przystawiono drabinę do okna, i wujaszek zręcznie spuścił się na ziemię razem z dzieckiem.

— A to zuch dopiero z tego twojego braciszka! — mówił ojciec, prowadząc wujaszka do mamy strwożonej i zapłakanej— nic a nic mu się nie stało, chociaż niebezpieczeństwo było straszne. Włosy tylko osmałił trochę, ale malca od pewnej śmierci uratował.

Nadbiegła w tej chwili z pola Wojciechowa z lamentem strasznym, a gdy ujrzała

chłopca zdrowego, uspokoiła się odrazu, bo o niego najwięcej się obawiała. Obecni tam wieśniacy w kilku słowach opowiedzieli jej, co się stało; biedna kobieta padła do nóg wybawcy swojego dziecka, ale wujaszek taki tem był zakłopotany, że uciekł czem prędzej do domu, ażeby, jak mówił, umyć się i przebrać.

Ojciec obiecał Wojciechowej dać drzewa na nową chałupę, a jeden z bogatszych wieśniaków zabrał ją tymczasem z dzieckiem do siebie. Gdy mama z dziećmi wracała do domu, Antoś był dziwnie jakoś zamyślony, a gdy przyszli i wujaszka zastali na ganku, chłopczyk rzucił mu się na szyję i zawołał:

— Wujaszek nie tchórz! o, nie tchórz!

— A to ty mnie za tchórze miałeś?—
odrzekł, śmiejąc się, wujaszek.

Mama wówczas objaśniła rzecz całą i, zwracając się do synka, rzekła:

— Oto masz przykład najlepszy, co zna-
czy prawdziwa odwaga; masz także naukę,
że nigdy z pozorów sądzić nikogo nie należy.

LUNIA I ŻOLKA.

Lunia miała psinkę Żolkę, którą niezmiernie lubiła. Nikt tego dzieciom nie gani, gdy są przywiązane do pocziwych zwierzątek, we wszystkim jednak miarę zachować należy. Mama często powtarzała Luni, że z psinką można się bawić, wziąć ją czasem na kolana, pogłaskać, ale całować się z nią ciągle to już rzecz zupełnie zbyt uczona. Piesek może być czasem chory, zresztą cóż to ładnego pozwalać się obliźywać i ślinić takiemu zwierzątku, choćby i najpocziwшему? Lunia jednak zwykle zapominała o przestrożach mamy, największą miała przyjemność w tych całusach i pieścizotach swojej ulubionej Żolki.

Raz przyjechała zdaleka ciocia, której Lunia nigdy jeszcze nie widziała. Wielka była radość w całym domu, a nasza Lunia

odrazu pokochała tę ciocię, dobrą, miłą i wesołą. Wyobraźcie sobie, jak się zdziwiła i zmartwiła, gdy raz chciała rzucić się na szyję cioci i ucałować ją serdecznie, a ta cofnęła się, jakby z obrzydzeniem, i nie dała się pocałować.

— Ach, daruj mi, moja droga Luniu— rzekła ciocia — jabym ciebie tak chętnie uściskała i popieściła, tylko... cóżem ja temu winna? Zobaczyłam dziś, jak całowałaś się ze swoją Żolką, a psina pośliniła ci całą buzię. Ja lubię pieski, nigdy ich jednak nie całuję i, przyznam ci się, że się tego okropnie brzydzę.

Mama słyszała tę rozmowę i bardzo była rada, a Lunia zawstydzona się strasznie; w pierwszej chwili o mało się nie rozplakała, że jednak była dobrą i rozsądną dziewczynką, więc poszła do drugiego pokoju, umyła buzię starannie, potem powróciła do cioci i rzekła:

— Już jestem umyta, ciociu kochana; niech mię tylko ciocia pocałuje, a przyrzekam, że nigdy nie pozwolę się ślinić i lizać Żolce.

— A to co innego — rzekła ciocia —
teraz, gdy pocałuję moją siostrzeniczkę, nie
będę w obawie, czy mi się czasem ślina
Żolki do ust nie dostała.

INDYK I WRÓBELEK.

— Próźniaku! Darmozjadzie! A pójdźże!

Tak wołał z gniewem indyk w języku ptasim na małego wróbelka za to, że ten chwycił parę ziarek, posypanych przez gospodynię na dziedzińcu folwarcznym. Wróbelek wbok odskoczył, ale niebardzo się nastraszył tego krzyku i zaświegotał pokornie do indyka:

— Czego się pan indyk tak gniewa? Czy to tu mało ziarna? Ja przecież dużo nie zabiorę, troszeczkę się tylko posilę; zmęczyłem się strasznie, budujemy gniazdko z moją żoneczką, bo już czuć wiosnę, trzeba się zabierać do roboty.

— No, no, weź tam już sobie parę ziarek — rzekł indyk, trochę udobruchany — ale poczekaj, niech ja się wprzód

najem. Nie mogę się przecież tak pospolitować, żeby jeść razem z tobą: co ja, to nie ty!

-- O, wiem to ja dobrze, mój panie indyku; ja sobie wróbelek prosty, tutejszy, a pan podobno z dalekich, zamorskich krajów pochodzi. Toż i gospodyni umie pana indyka szanować, zawsze mu pełną garścią sypie ziarno. O mnie nigdy nie pomyśli.

— A widzisz! — mówił indyk, nadymając się z dumą — znają mnie wszyscy i szanują; bo to ja, widzisz, pochodzę ze znakomitego, cudzoziemskiego rodu, z takiego kraju, o którym ty nawet nie słyszałeś nigdy.

— A z jakiego? Ach, gdyby pan indyk był łaskaw opowiedzieć! — rzekł wróbelek, udając wielką pokorę; umyślnie wyciągał indyka na słówka, choć wcale nie był ciekaw, skąd on tam pochodzi, ale myślał sobie, że jak się rozgada o swojej wielkości, to na nic nie będzie uważał, a on tymczasem ziarnko po ziarnku będzie mu chwytął z przed nosa.

-- Moja ojczyzna jest bardzo daleko—
mówił indyk — za szerokiem morzem, za
oceanem, na drugim końcu świata.

— Al! to pewnie aż tam, gdzie jaskółki
lecą na zimę.

— Ale gdzieżby tam jaskółka zalecia-
ła! Tam nawet ludzie swojemi okrętami nie
mogli dopłynąć, aż jeden znalazł się taki
odważny, nazywał się Krzysztof Kolumb...

— Aha! to pan indyk z Ameryki po-
chodzi—przerwał wróbelek i dziobnął aż
trzy ziarnka naraz.

— A ty skąd to wiesz? — spytał indyk.

— Oho! czy to ja nie słyszę, jak sie-
dę czasem na dachu i do okien zaglądam,
co tam dzieci na lekcjach swoich powta-
rzają? O owym Kolumbie, co Amerykę
odkrył, tak często mówią, że i my, wróble,
świegoczemy o tem na dachu. Ale jakże
to pan indyk mógł z Ameryki przylecieć
przez takie morze szerokie? Nie widziałem
nigdy, żeby pan latał, nieraz nawet sobie
myślałem: poco ten pan indyk ma takie
duże, wspaniałe skrzydła, skoro latać nie
umie)

— Bo ja, widzisz, latać nie potrzebuję i nie lubię, wolę biegać; latanie nie przystoi ptakom szlachetnie urodzonym. Pospółstwo tylko lata: wróble, jaskółki, skowronki, ale gdzieby tam indyk latał

Mówiąc to, nadał się i kiwał nosem z wielką powagą.

— A więc jakże pan indyk dostał się aż z Ameryki do naszego kraju?—pytał wróbelek.

— No, ja się już tu w kraju urodziłem, i ojciec mój także, i dziad i pradziad. Niegdyś, bardzo dawno mojego pra-pra-pradziadunia ludzie okrętem przywieźli z Ameryki. Siyszałem to od mojej matki, a jej mówiła babka, tamtej znów prababka. Babunia opowiadała bardzo ciekawe historie, jak to tam nasi bracia indyki żyją na stepach amerykańskich, jak wędrują wielkimi gromadami, przechodzą przez lasy, przepływają nawet rzeki, a nigdy nie mieszkają po takich ciasnych kurnikach, jak my, i nie znają ludzi, nigdy przynajmniej nie przyjaźnią się z nimi.

— I pocóż to pański pradziadunio tu przyjechał do Europy — spytał wróbelek.

— On nie miał wcale ochoty jechać, ludzie go zabrali, bo nie mieli tu w Europie tak wspaniałych ptaków i wstydzili się żyć tylko z nędznymi wróblami, jaskółkami i innem pospółstwem tutejszem — i znów indyk się nadał i kiwał nosem z wielką dumą.

— Upadam do nóg — rzekł wróbelek — żona na mnie woła, trzeba jej w czemś pomóc w budowie gniazdeczka — i pofrunął, bo już wyjadł wszystkie ziarnka, a rozmowa z indykiem wcale go nie zajmowała.

Spotkawszy się z żoną, opowiedział jej wszystko i śmiał się z pychy indyka.

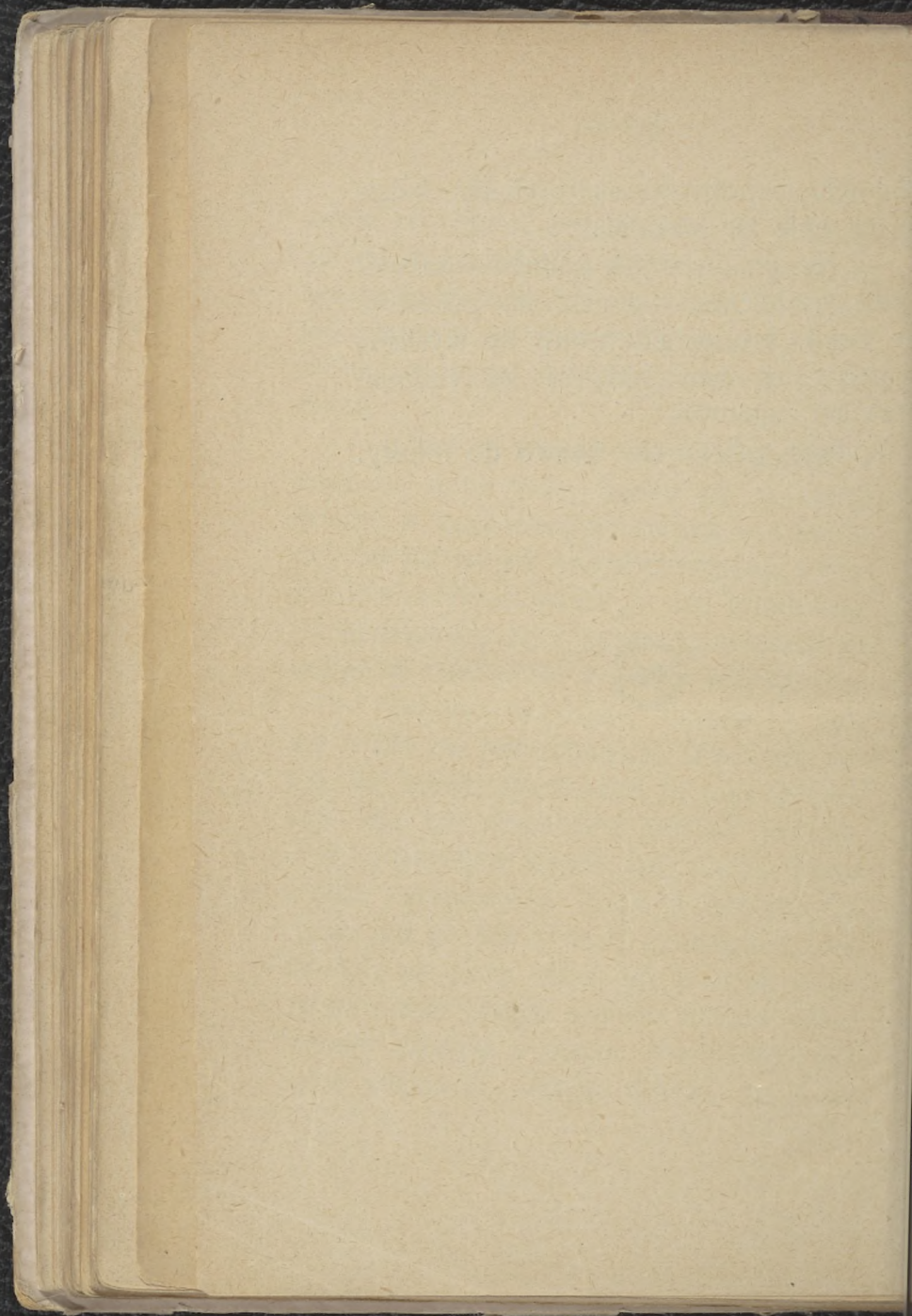
— Gdybyś wiedziała, duszko — mówił — jaki on jest zabawny! Wyobraża sobie, że ludzie sprowadzili tu jego przodków dla ich wspaniałej postaci jedynie, i że gospodyni sypie mu ziarno przez wielkie uszanowanie. Wiem ja dobrze, dlaczego oni go tak szanują i pielęgnują; widziałem raz przez okno, jak kuchcik obracał na rożnie takiego samego indyka, oskubanego zupełnie z pierza. Pomyślałem też sobie wtenczas: „Jak to dobrze, że ja je-

stem taki niepozorny, mały, chudy, ludzie się na mnie nie zląkomią!“

— No, no, cicho już, gaduło! — zaświegotła wróbliczka — pomóż mi pozbierać ten mech, bo mi potrzebny do wysłania gniazdka; co tam będziesz się cudzemi sprawami zajmował.

I oboje zabrali się żwawo do roboty.

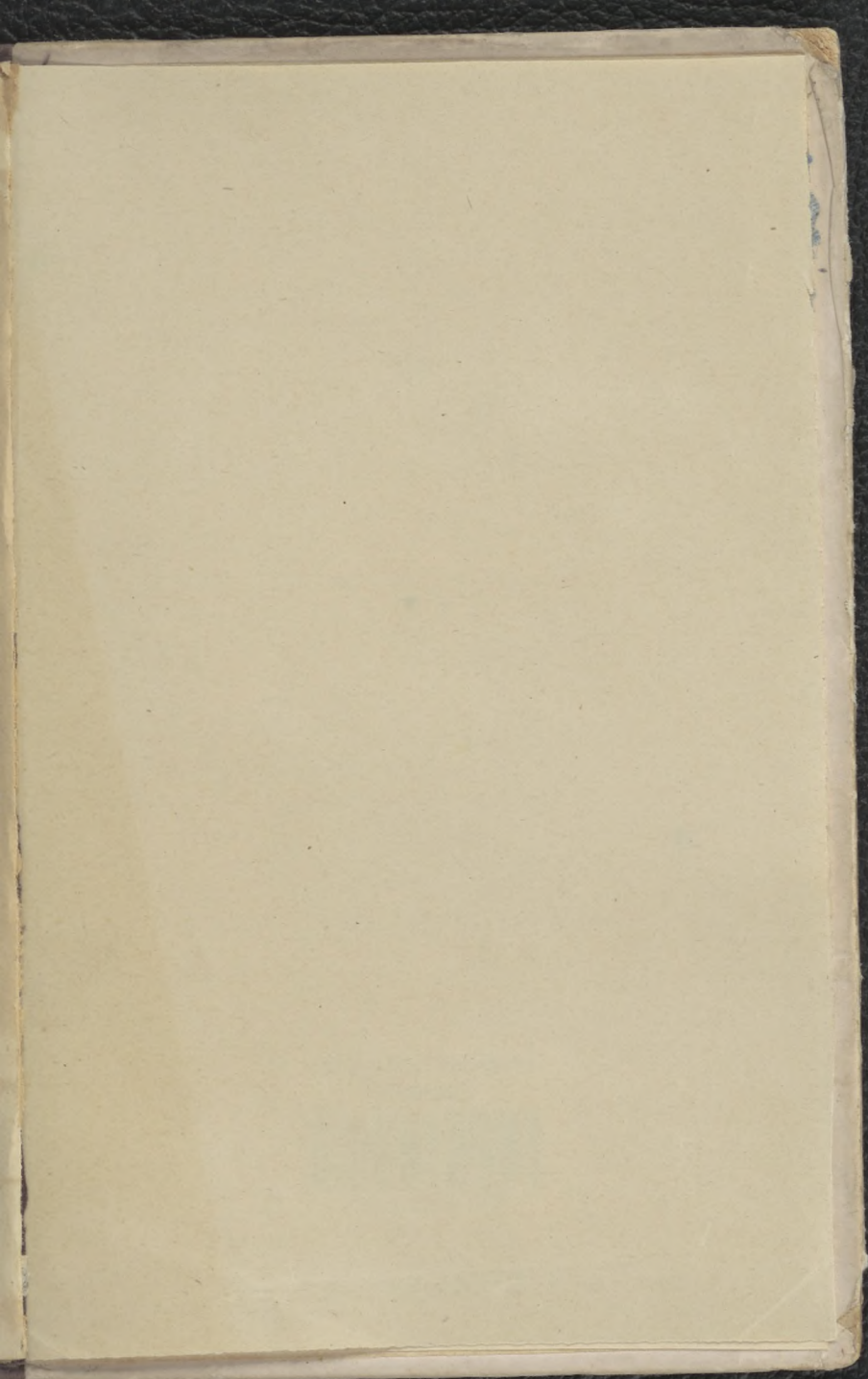


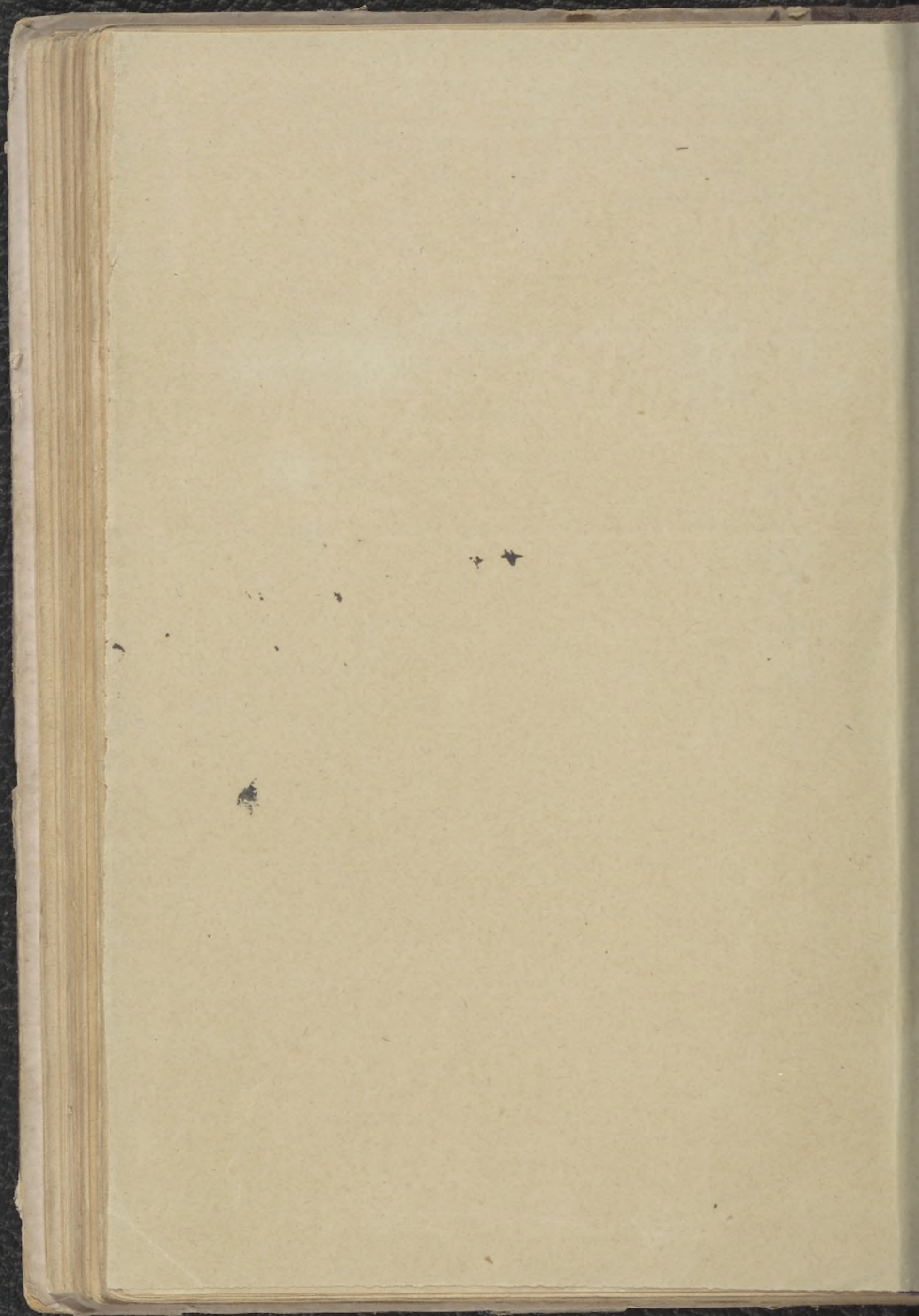


Spis rzeczy:

- | | |
|---|----------|
| 1. Wiewiórki | str. 5. |
| 2. Wojtus | str. 13. |
| 3. Mały ogrodnik | str. 20 |
| 4. Mała Lepowka | str. 24 |
| 5. Opowiadanie Białosi | str. 30 |
| 6. Lusia | str. 38 |
| 7. Michałek | str. 41 |
| 8. Postępaniec | str. 49 |
| 9. Niedźwiz pistolet | str. 56 |
| 10. Wojna z muchami | str. 61 |
| 11. Zimna woda | str. 69 |
| 12. Jemiołki | str. 73 |
| 13. Kwiłek | str. 78 |
| 14. Co się robi z piaskiem | str. 80 |
| 15. Wąsykones | str. 87 |
| 16. Sen Misi | str. 101 |
| 17. Nauki Czubatki | str. 106 |
| 18. Kasia | str. 114 |
| 19. Strażna przystaje Wersatka i Gaiourki | str. 116 |
| 20. Gryzki | str. 123 |
| 21. Przechodzą cioci Wandzi | str. 127 |
| 22. Co przyszedł opowiadać Gynimioni | str. 135 |

23. Ściewełch	str. 142
24. Wiewiórka Okunowa	str. 157
25. Niepostawna Lusia	str. 165
26. Marjanek	str. 169
27. Ślizgawka	str. 176
28. Myski	str. 180
29. Wycierka do lasu	str. 185
30. Mata malanka	str. 194
31. Żłota szpilka i cienieć	str. 196
32. Podartek Dziadunioj	str. 204
33. Dziwne iskierni	str. 207
34. Piorońka i Molytek	str. 213
35. Przegrody nad rzeką Puryki chich	str. 216
36. Antos i wójczak	str. 224
37. Lusia i Żółta	str. 231
38. Jędzeł i wróbel	str. 234





98 / A44

D-121 / M8

793

Biblioteka Narodowa
Warszawa



30001020415837

656101806

3.044.841

